Tułaczy talizman. Stanisław Januszko (1914-2002).

Winicjusz Gurecki *(Toronto)*



Fot. Michal Jarmoluk z Pixabay

Tułaczy Talizman

Garść ziemi zabrałem spod progu mej chaty,

Ten sercu polskiemu najdroższy talizman,

Gdy ze wsi uchodzić musiałem przed laty,

Nie wiedząc gdzie czeka mnie nowa ojczyzna.

*

Gdy szedłem z pól naszych na ścieżki tułacze

Graniczny las żegnał mnie cichym szelestem,

A rzeka szumiała:- Na drodze przeznaczeń

Bądź wierny twej ziemi, pamiętaj kim jesteś!

*

Spojrzałem za siebie w znajomy mrok kniei

I żal mnie ogarnął, co gorzkie łzy rodzi;

Po latach niewoli, obietnic, nadziei

Musiałem z ojczyzny do obcych uchodzić.

*

I chroniąc skarb drogi wędruję po świecie:

Przez morza i lądy, kraj gwarny i głusze,

A za mną tęsknota, jak w zimie, tak w lecie,

Przy pracy i w domu wciąż trawi mą duszę.

*

Po nocach w snach widzę rój ptactwa nad wodą,

Las, łąkę kwiecistą i zagon nasz żyzny

I nie wiem, czy kiedyś mnie drogi zawiodą

Z powrotem do Polski, do mojej Ojczyzny!

*

> Gdy umrę wśroó obcych, duch „Letę” przekroczy,
>
> O jedno was, bracia dziś proszę serdecznie –
>
> Mą ziemią ojczystą zasypcie mi oczy,
>
> Niech w obcej mogile o Polsce śnię wiecznie.
>
> (Stanisław Januszko)

I stało się tak jak pisał Poeta. Zmarł po długiej i ciężkiej chorobie 28.XII.2002 r. w szpitalu w Toronto, na trzy miesiace przed ukonczeniem 89-tego roku życia. Najbliższa rodzina i grono wiernych przyjaciół odprowadziło Go na miejsce wiecznego spoczynku w obcej, kanadyjskiej ziemi. Nie zabraklo na Jego trumnie tego tułaczego talizmanu, garści polskiej ziemi…

Pozostawił po sobie dorobek zawarty w dziesieciu tomikach wierszy; „Wszystko przemija” (1973), „Posiew tęsknoty i satyry” (1974), „Ponad horyzontem” (1975), „Synowie pól”(1976), „Klęski i zwycięstwa” (1977), „Przez mękę do chwały” (1979), „Brzask nowej ery” (1981), „Cześć Kanadzie” (1985). W 1988 r. w Polsce, nakladem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej w Warszwie ukazał się wybór Jego wierszy pt. „śladami bardów”. Ostatni tomik pt. „Uzdrów świat chory” wydał Poeta w 1994 r.

Na przygotowanie do druku następnego tomiku zabrakło sił i czasu. Piórem zapracował sobie uczciwie na państwowe odznaczenie „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, którym Go uhonorowano.

Stanislaw Januszko posiadał wrodzony talent poetycki. Wiersze zaczął pisać będąc jeszcze dzieckiem. W wieku dwunastu lat ten chłopski syn z białostockiej wsi, za wiersz napisany na urodziny marszałka Piłsudskiego dostaje podziękowanie z Belwederu. Gdy był już w wieku przedpoborowym, napisał patriotyczny wiersz, który został odczytany w audycji radiowej dla wojska, a nasteępnie powielony i oprawiony w ramki wisiał w każdym biurze przyjmujacym poborowych do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Ten wiersz spowodował, że służbę wojskową odbył Januszko w kompanii zamkowej przydzielonej do ochrony prezydenta Polski. Po jej zakończeniu otrzymał od prezydenta Mościckiego stypendium na naukę w gimnazjum im. Władysława IV na kursach wieczorowych. Ucząc się, pracuje w redakcji „Wiarusa”.

Zdążył skończyć dwie klasy gimnazjum, gdy wybuchła wojna. Walczył z Niemcami w okolicach Grodna i Augustowa. W latach okupacji w Batalionach Chłopskich, a potem w Armii Krajowej. Gdy w 1944 r. wkraczały w tamte okolice wojska sowieckie, dostaje od swego dowódcy polecenie zorganizowania posterunku milicji, obsadzonego, oczywiście przez samych żołnierzy AK.

Rozpracowny przez NKWD i UB ucieka w ostatniej chwili przed aresztowaniem. Za Jego schwytanie wyznaczono nagrodę. Przez jakiś czas ukrywał się na Śląsku, a następnie w Szczecinie, skąd udało Mu się przedostać przez „zieloną granicę” do angielskiej srefy okupacyjnej w Niemczech.

Do Kanady przyjechał w 1948 r. Pracował jako robotnik w przemyśle maszynowym. Wiersze pisał zawsze, lecz czas na ich wydanie drukiem znalazł dopiero po przejściu na wcześniejszą emeryturę, z powodu złego stanu zdrowiia w 1971 r.

A tak pisal w wierszu „O sobie”:

> Ja jestem rymotwórca. Inni – to poeci.
>
> Mój wzrok po ziemi błądzi, ich w przestworza leci.
>
> Innym myśl górnolotna w niebiosa ucieka,
>
> Moja biegnie po ścieżce prostego człowieka.
>
> Oni błądzą w lazurach, ja podglądam życie.
>
> Ja piszę robotnikom, a oni elicie.

*

Im los dał harfy, flety, złote lutnie,

Ja na deskach lipowych gram rzewnie i smutnie.

Ich grób kiedyś ozdobią wieńcem laurowym,

A na moim – postawcie zwykły krzyż brzozowy.

I rzućcie nan garść chabrów i niezapominajek,

I napiszcie na krzyżu – tu śpi wiejski grajek.

Mimo całej swojej skromności Staś Januszko – jak na niego mowiliśmy – był poetą, którego twórczość powinna pozostać w skarbcu kultury narodowej na zawsze. Bo te wiersze będą zawsze aktualne.

Tamtego dnia, ostatniego dnia 2002 r. wróciwszy z pogrzebu Przyjaciela wziąłem do ręki tomik Jego wierszy, by przekonać się, że On nie odszedł tak naprawdę, całkowicie. W tych strofach, w które włożył całe swoje serce, pozostanie wciąż żywy. Dzięki Mu za to, że nam je zostawił.

*

Zobacz też:

> Poeta pamięta. Stanisław Januszko (1914-2002).

> Dożywotnio skazany na Polskę

Adam na Księżycu. O polskiej przeszłości

i literaturze z perspektywy australijskiej.



Adam Fiala, fot. Andrew Fiala

Z pisarzem Adamem Fialą rozmawia Teresa Podemska-Abt

Rozmawiamy ze sobą mailowo dwa lata. Pora na uporządkowania. Wyszło na mnie, bo Pan, o dziwo (!) i jak

sprytnie (!), nie używa komputera. Zacznijmy od życia w Polsce. Jest Pan dzieckiem Lublina?

Moje ‘bio’ nie jest specjalnie skomplikowane. Tak, pochodzę z Lublina. Dziadkowie ze strony ojca żyli w Starym Samborze, niedaleko Czarnobyla. Dziadek Fiala był z pochodzenia Czechem lub Włochem. Dziadkowie ze strony Matki mieli nazwisko Kultys. Członkowie dalszej rodziny pojechali kiedyś na Litwę i ustalili, że Kultysi byli zubożałymi książętami i pracowali na roli, co traktowałem jako dobry dowcip. Moja matka była pomocnikiem księgowego w RUCHU. Jako emerytka malowała ręcznie dewocjonalia dla Ars Christiana. W odróżnieniu ode mnie była bardzo religijna i nazywała swoją pracę malarstwem precyzyjnym. Ojciec, prawnik, był początkowo dyrektorem Poczt i Telegrafów województwa lubelskiego, a później – adwokatem. Fiala nie jest w Polsce popularnym nazwiskiem. Rodzice wzmiankowali o pewnym panu Fiali, który nie był z naszej rodziny, ale był przedwojennym szefem bezpieki. W jakimś czasie szkolnym nazywano mnie wrogiem klasowym i rozumiałem, że to było dwuznaczne. Śladem Ojca, poszedłem na prawo w Lublinie, po którym, a był 1963 rok, zostałem radcą prawnym. Pracowałem na prowincji na wielu półetatach i „ćwiartkach radcowskich”. Po dwudziestu latach takiej pracy z Polski wyjechałem.

A kiedy zaczął Pan pisać? Pisać literacko, oczywiście, bo

nie pytam o listy, choć „ludzie listy piszą'"zwykłe i niezwykłe jak *Wariacje pocztowe* Brandysa albo *Julia, czyli Nowa Heloiza* Rousseau.

Listy piszę od dziecka, jak wszyscy kiedyś. Wiersze pisywałem na studiach, ale jakby w stylu prozatorskim, bez metafor i ozdobników. Po latach znalazłem, że w podobnym stylu pisał w Los Angeles nieżyjący już Charles Bukowski. Moim ideałem ze względu na klarowność jest też Herbert, czasami jego wiersze są takimi mini nowelami poetyckimi, czyli – moim ideałem. Kiedy miałem ze dwadzieścia trzy lata, debiutowałem w *Kamenie* tak zwanymi krótkimi formami, które puszczano w dodatku dla młodych pisarzy.Moich wierszy nikt nie chciał publikować, więc wziąłem się za prozę i mając ze dwadzieścia pięć lat, napisałem – jak to określono w krytyce promocyjnej wydawnictwa *Iskry* – powieść eksperymentalną: *Jeden myśliwy, jeden tygrys*. Był to luźny zapis; odbiegał od tradycyjnie skrojonej prozy. Redaktorzy się obawiali, że nie znajdzie czytelników, ale było odwrotnie. Próbowałem nawiązywać w tej prozie do książki *Buszujący w zbożu* Salingera. Nie wiem czy mi się to udało.

***Kamena* to z doskonały start pisarski. Przypomnijmy, czasopismo ukazywało się już przed wojną, początkowo lubelskie, później ogólnopolskie, działało do 1993 roku. *Kamena* mierzyła wysoko i w swej historii miała wielu wybitnych współpracowników: Józefa Czechowicza, Józefa**

Łobodowskiego, Edwarda Stachurę, Władysława Broniewskiego, Tadeusza Bocheńskiego, a także Juliana Tuwima, Juliana Przybosia, Mieczysława Jastruna. Kogo Pan wspomina ze swoich w niej czasów? Czy zadomowił się Pan w niej tylko dlatego, że miała siedzibę w Lublinie?

Kamena była „pod ręką". To zdawało się sensowne, żeby akurat z nią się związać. Była pismem z dużymi tradycjami i znakomitymi nazwiskami. Kazimierza Jaworskiego nazywano Kajem, zaś syna Marka Majem: prywatnie pisywałem o nich fraszki. Redakcję i zespół czasopisma tworzyli wspaniali ludzie. Pamiętam Marię Bechczyc-Rudnicką, autorkę prozy zatytułowanej *Malerza raweńskiego owieczek dwanadzieście* wzorowaną na włoskich legendach z XVI wieku. Bardzo nas to anarchizowanie Pani Marii wtedy bawiło. Była znaną tłumaczką. W młodości była arystokratyczną damą tańczącą na dworze ostatniego cara, ale wcale jej to nie przeszkodziło zostać w PRL-u naczelną redaktorką. Była niezwykle żywotna: dobrze po dziewięćdziesiątce, w czasie stanu wojennego, samodzielnie wyjechała na wycieczkę do Paryża. Krążył o Niej taki absurdalny dowcip, że gdyby zapisywała się do WRON'u, spytałaby z pewnością czy trzeba będzie płacić składki członkowskie.

Ja natomiast wspominam pierwsze honorarium, jakie otrzymałem z *Kameny,* bo dla studenta kilkadziesiąt złotych w owych czasach to bajka. Było wtedy modne powiedzenie: „Student żebrak, ale

Pan”. Bardzo żałowałem, że *Kamena* się skończyła. Na początku mojej drogi w *Kamenie* myślałem o wierszach, lubiłem formę, ale nie to im się podobało. Moich wierszy w *Kamenie* nie lubiano, ale na szczęście (!) ceniono prozę. Mówiono: ”Fialę się czyta”. W *Kamenie* ludzie rozumieli, że widzę Polskę Ludową jako kopalnię ciekawostek obyczajowych. Byli oczywiście dużo lepsi ode mnie, jak Sławomir Mrożek, ale wtedy nie szło o rywalizację; wtedy wielu polskich pisarzy i poetów tworzyło w podobnym duchu. Częstą motywacją do pisania była ówczesna sytuacja polityczna, paradoksy społeczne, absurdy tamtego życia, a w końcu sprzeciw i potrzeba artystycznego wyrażenia go, może zakamuflowania nim, pisaniem znaczy, niezadowolenia, no i oczywiście – chęć tworzenia.

Pisanie i upublicznienie własnego głosu także? Był Pan wtedy ambitny? Miał Pan przecież być prawnikiem, nie pisarzem.

Tak. I jedno i drugie. Myśleliśmy, że razem możemy coś zdziałać, ale chyba nie do końca mieliśmy w tym rację, bo państwo ludowe czuwało i choć w pewnym sensie było mecenasem, to wiele osób musiało wybierać, żeby omijać cenzurę. Moją ambicją nie było zostać prawnikiem, na ten kierunek naciskał mój Ojciec, mnie bawiło i pochłaniało obserwowanie życia, a że było dziwaczne, to i dziwacznie o nim było pisać i pisałem.

Z tą cenzurą w Pana przypadku nie było aż tak źle, bo w latach siedemdziesiątych, gierkowskich, minionego stulecia był Pan już autorem kilku wydanych książek: w 1976 roku ukazała się mikropowieść, którą Pan wspomniał, *Jeden myśliwy, jeden tygrys, w* 1978 – *Sprawy rodzinne,* a w 1979 – *Zygzakiem po prostej.* W 1979 roku czytelnik otrzymał też Pana opowiadanie: *Termiterium wisielców.* Krytyka literacka tamtego czasu zarejestrowała Pana jako pisarza ironicznego, skupionego na detalu. I istotnie, we wszystkich wymienionych tytułach odczytujemy autoironię bohatera i satyryczno-ironiczną reprezentację rzeczywistości.

Z cenzurą było różnie. Mój debiut w PRL'u nie należał do brawurowych, ale fakt, zdobyłem w tamtym czasie pewną popularność. *Termiterium wisielców* opowiadało o ludziach mieszkających w tzw. socjalistycznym „mrowiskowcu" z prefabrykowanych płyt betonowych. Oni kochali teatr, zwłaszcza ten w TV polskiej. To co się działo wtedy i w tych mrowiskowcach było teatrem, stąd był mój zamysł na ten tekst. Wszystkie książki (siedem) wyszły w ćwierć milionowym nakładzie. Henryk Bereza poświęcił mi artykuł zawarty w swojej książce krytycznej, tytułu nie pamiętam, nie wiem nawet czy On jeszcze żyje. Pisał o mnie także, później chyba nieco, Emil Biela, któremu posyłałem długie listy pełne wrażeń z Australii, plus malunki i szkice miniaturowe, a On w rewanżu przesyłał mi

wycinki z prasy literackiej w Polsce. Ostatnio pisze o mnie Pani, co poczytuję za dla mnie ważne, bo podoba mi się jak Pani pisze i widać w tym nie tylko warsztat akademicki, ale literacki i krytyczny talent pisarski. Dziękuję.

Miło, że tak Pan widzi moją pracę. Henryka Berezę przez jakiś czas czytywałam w *Twórczości*, jeszcze tu w Australii.

Dzięki Niemu zaistniałem. Zawsze mnie zaciekawiał. Mam pamięć do twarzy, a Bereza przypominał mi fizycznie Witkacego. Poza tym pamiętam Go dobrze, bo mówił niezwykle oszczędnie i cicho. Raz się z nim spotkałem w jego mieszkaniu koło Pałacu Kultury, na wódce, którą mnie częstował. Twierdził wtedy, że pod jego mieszkaniem znajduje się ukryty warsztat, który pracuje w pewnych momentach i bardzo sprytnie się wycisza. Dało mi to do myślenia, ale o nic nie wypytywałem. Wiedziałem, że Bereza bardzo lubił dziwnych pisarzy i zastanawiało mnie dlaczego mną się interesował, bo ja sam uważałem się za średnio dziwnego. Do jego ulubionych autorów należał Jan Dżeżdżon z pochodzenia Kaszub, który pisał tak dziwne rzeczy i takim sposobem, że włosy na głowie stawały.

W którymś wywiadzie Bereza powiedział, że rozpoznał u Jana Dżerdżona „najwyższe wartości literackie". Nie jest tajemnicą, iż Bereza szukał w literaturze *nowego*, więc myślę, że chodziło Mu o nieschematyczność manifestującą

się nie tylko mityzacjami i obecnością „snu” w prozie Dżerdżona, ale umiejętnym zacieraniem granicy między różnymi stanami i treściami życia. Obu łączyło zainteresowanie twórczością dla dzieci. Czytałam, że Bereza dobrze tańczył, był muzykalny i podobno doskonale pływał. Lubił być kontrowersyjny. Te Jego zalety prowadzą w kierunku Pana postaw i prozy, bo nie zabiega Pan o sławę, a nawet, jak w wierszu *mam*, chcąc „tworzyć tworzyć tworzyć/dla własnej/ we własnej/bańce mydlanej”, Pana podmiot „kocha pisanie do szuflady”. Poza tym, cechuje Pana upodobanie do codziennego sportu, a Pana bohater do niczego nie zmierza, czyli reprezentuje to, co Bereza kiedyś ogłosił jako „koniec romantycznej tradycji” w naszej literaturze. Pana bohater to obserwator, poddający się, niemalże biernie, biegowi wypadków i rzeczywistości, biorąc z niej co się da.

Bereza miał udział w moim debiucie, a moim szczęściem, było, że znalazł we mnie oryginała. W zasadzie, powinienem się cieszyć, że mi to w ogóle wydali. Oczywiście, zadowolony byłem, bo co innego miałem do roboty. Cechuje mnie to, że od małego uprawiam kilka dziedzin sztuki i one mi się łączą. Zdaję sobie sprawę, że budzę pewne kontrowersje u ludzi, a niektórym zdecydowanie nie leżę. Moja proza jest jaka jest, a bohater jest zwyczajnym człowiekiem. Nie zawsze jest to bohater powieści, raczej tekstu, który w danym momencie piszę. Obojętne mi są

kategoryzacje gatunkowe i wszelkie dyskusje o narracji. Niech się krytycy trudzą, ważne, aby było czym.



Adam Fiala, fot. Andrew Fiala

Żeby krytycy się trudzili, przy okazji – Henryk Bereza odszedł w 2012 roku, musi Pan publikować lub używać siły „linków”, mówiąc językiem komputerowym. Szkic, który Pan wspomina, pochodzi ze *Sposobu myślenia,* wydanego w 1989 roku. W tomie *O prozie polskiej* krytyk pisze, że Pana debiutancka powieść jest „na niby, ale ta niby-powieściowość jest (…) znakomicie umotywowana. (…)

Chodzi bowiem o przenikliwe widzenie codzienności życia, o prześwietlenie jej charakteru i wymiaru". W *Codzienności* krytyk interpretuje *Zygzakiem po prostej*, twierdząc, że Pana narrator „jako osobowość jest funkcją nieskończoności powszednich działań, których kresem może być tylko śmierć". Pana proza „jest opisowa, jak powieści niektórych osiemnastowiecznych pisarzy angielskich, (...) nie ma w niej nic poza czystym opisem zachowań społecznych ludzi w określonych historycznie układach rzeczywistości społecznej, nie ubarwia się tych opisów niczym, komentuje się je z rzadka (...), są to opisy, których prawda i literacka sugestywność biją w oczy". Kwintesencją Berezowskich analiz jest wypowiedź na temat *Kiedy święci maszerują*, odtwarzającą „zbiorową chorobę", a „[p]rzewrotność [utworu], polega na tym, że narrator występuje jak gdyby w roli entuzjasty turystyki (...)" i ma „pretensje do wycieczkowego pilota, że uchyla się od biegów od bazyliki do bazyliki i od podziwiania rewii „maszerujących świętych" (...). Krytyk uznaje, że powieść „jest finezyjnym studium znamiennego społecznego obłędu naszych czasów". Przypomnijmy, narracja zasadzona jest na motywie podróży, cechują ją opisy ludzkich zachowań, a krytykuje Pan konsumeryzm, swoiste opętanie współczesnego człowieka i społeczeństw. Jak Pan tę Berezowską recepcję Pana utworów wspomina z perspektywy czasu? Czy tak Pan chciał, żeby były

odczytane? Czy miał rację albo czegoś nie „wyczytał”, coś pominął, co było Pana zamiarem?

Jeden myśliwy, jeden tygrys był istotnie rzetelnym, a równocześnie osobliwym, zapisem rzeczywistości. Wypowiedzi, które Pani przytacza mnie zaskakują, ale głównie dlatego, że pisząc to nie miałem koncepcji powieści. Mój „art” był w jakimś sensie podświadomy. Jednym, a istotnym dla tych cytacji słów, jest słowo „zapis”. Kiedy byłem uczniem zachwycałem się Charlesem Dickensem, szczególnie „Klubem Pickwicka”. Henryk Bereza prawdopodobnie nie wiedział, że moim ulubionym polskim pisarzem był Miron Białoszewski jako prozaik. Jego *Pamiętnik z Powstania Warszawskiego* czytałem kilkanaście razy i nawet przywiozłem go do Perth, więc nigdy się z nim nie rozstałem. Mam taką teorię, że nawet, jeżeli nie czytam określonych książek, a one fizycznie istnieją obok mnie, w mojej bibliotece, to tak jakby ciągle były we mnie i ze mną. Bawiło mnie, że tak skomplikowaną społecznie i politycznie sprawę jak Powstanie można było ująć tak lekko, jakby ktoś spacerował po parku. Myślę, że Białoszewski patrzył na Powstanie oczami dziecka i ten sposób zapisu szalenie mi się spodobał. Ze słyszenia wiem, że inni krytycy niezbyt sympatycznie patrzyli na moje powieści i może w pewnym sensie mieli rację, bo ja właściwie nie lubię powieści, nie lubię tej konwencji. Powieść jest zagadana, dlatego napisałem tysiące aforyzmów. Pisałem zawsze tak jak rysuję i maluję, czyli spontanicznie, choć oczywiście nie tylko

tak, ale nigdy nie wiem co mi wyjdzie nie tylko w finale, ale w całym procesie tworzenia.

Dziecko widzi i słyszy inaczej niż dorośli, bo nie jest „skrzywione" edukacją, dziecko mówi prosto, jego postrzeganie jest autentyczne, ale ja narrację *Pamiętników o*kreśliłabym jako „spiętrzenie strzępów" mowy. Naturalnie celowe, bo obrazujące sytuację: w natłoku zdarzeń i zagrożenia śmiercią nie ma czasu na normalność, zatem na budowanie kunsztownych zdań. Z drugiej strony, język *Pamiętnika* to „gadanie", tyle, że nie o byle czym, a o katastrofie i (prze-)życiu zapisanym „mową więzi ulicznej" Warszawiaków. Więc, dla mnie to mowa słyszana w tramwaju, na ulicy, w kolejce. Tak o wojnie mówiło pokolenie moich Rodziców, a mój Ojciec – o swoich potwornych przeżyciach w Auschwitz i Buchenwaldzie. Oni mówili jakąś „niedo-mową" pełną pauz i napięcia. Podobnej ekspresji używa młodzież, gdy opowiada o podwórkowych bójkach, wypadkach, zaskakujących sytuacjach. Innymi słowy, mówię tu o języku ruchu i emocji, gdzie słyszę gorączkowość, falstart, emocjonalnie zapamiętane daty. U Białoszewskiego napięcie i strach zamykane są lub poskramiane śpiewem i żartem, co na przykład ma miejsce, gdy bohaterowie są w schronach. Wie Pan (?), Białoszewski uważał, że „pisanie nie może zjeść mówienia", bo „to z napisanego – jest potem mówione na

głos". W *Pamiętniku* realizuje tę poetykę, mamy tam coś w rodzaju transkrypcji autentycznego ustnego dokumentu doświadczenia zbiorowego różnych grup, przy czym mówi nie tylko Miron, ale miasto. Niedawno obejrzałam oratorium napisane na bazie *Pamiętników*, z muzyką Mateusza Pospieszalskiego, w reżyserii Jerzego Bielunasa. Czas przedstawienia – jak w relacjach Białoszewskiego – nie szedł łatwo, był lekcją do przeżycia, czasem emocji i dramatu. Jeśli Pan tego widowiska nie oglądał, polecam, zrealizowano je w 2009 roku i jest dostępne w Internecie.

Zobaczę co to jest, bo ten język w *Pamiętniku* jest dla mnie taki ważny dlatego, że Białoszewski o dramatycznych sprawach potrafił napisać tak jak o jedzeniu klusek, czy kapuśniaku. Ja się na literaturze nie znam tak jak Pani, ale ja ją czuję.

Bawi mnie fakt, iż ciągle pisze Pan na mechanicznej maszynie, a emaile do mnie dyktuje Pan Annie, żeby mi je szybko dostarczyła! Właściwie rozmawiamy ze sobą dzięki wspaniałomyślności pańskiej żony. Nie krępuje Pana brak niezależności? Nie ufa Pan kartce elektronicznej? Internetowi?

Maszyna do pisania ma duszę. Czcionki się odbijają w różny sposób, charakterystyczny dla danego egzemplarza. Wiadomo co jest oryginałem, a co kopią. W komputerze tego nie ma. Stukot

maszyny inspiruje mnie w większym stopniu niż klikanie. Wszystkie moje teksty w Polsce pisałem od razu w trzech egzemplarzach. Ja nie chcę być nonsensowny, ale podobno Mozart pisał swoje utwory od razu i bez skreśleń: ta idea bardzo mi się spodobała. W domu nie mam PC, bo mam coś w rodzaju studia muzycznego, które zajmuje trochę miejsca, ale też studio to instrumenty i dźwięki, a komputer to akustyczna niemota. Elektronicznej kartce i temu tak modnemu dziś systemowi internetowemu ufam choćby dlatego, że to jest jedyna szansa, żebym się choć troszkę wychylił na świat. Jestem słaby w technologii, być może w związku z moim podeszłym wiekiem, ale Internet według mnie jako źródło przekazu daje rzecz najważniejszą – niezależność. Nie daje niezależności fakt, że komputera dla mnie używa Anna. Pani ma lepiej, bo jest niezależna.

Zawsze można powiedzieć, że Pan ma z tego korzyść mediumiczną i w tej samej chwili ma Pan kontakt z Anną i ze mną, czyli sprytnie wykorzystuje Pan „towarzyski" potencjał komputera! W moim życiu komputer, wcześniej procesor, jest od ponad trzydziestu pięciu lat. To moje pióro, katalizator, komunikator, poczta, biblioteka, archiwum, odbiornik. Mój osobisty współczesny wielomedialny Golem, który mogę włączyć i wyłączyć na własne życzenie (jak to zrobił Lem z Golemem XIV). Przejdźmy do tematu twórcy i jego pracy. „Twórca" to

określenie jednocześnie magiczne i kłopotliwe. Ryszard Krynicki, zapytany (to spotkanie wrocławskie z Nim ciągle pamiętam, był rok chyba 1980) „jak tworzy", powiedział: „a chodzę sobie, tak chodzę wkoło stołu lub po plaży i wymyślam". Jak Pan odpowie na to pytanie? Co jest Pana „motorem"? To rodzaj wewnętrznego przymusu? Niepokój, pasja? Co każe Panu tworzyć? Zaczyna Pan od gotowej koncepcji? Czy może szuka Pan tego w trakcie aktu twórczego? Jak to z Panem, Pana malowaniem, rysowaniem, pisaniem jest? Chodzi Pan? Siedzi? Pisze automatycznie w nocy? Znane jest Panu „nicnierobienie" Białoszewskiego?

Moja sztuka wynika z wewnętrznego przymusu, który mi dyktuje jak poruszać ręką i czy i jak układać słowa. Nie jest dla mnie ważne czy to ma być arcydzieło czy będzie to miało wartość materialną. Cechą moją jest niesamowita systematyczność. Potrafię codziennie malować czy rysować tylko przez godzinę, ale paradoksalnie pracuję przez całą dobę, bo mam przy sobie zawsze skrawek papieru. Notuję myśli nawet w środku nocy i spokojnie dalej zasypiam. W ten sposób zbiera mi się więcej prac niż artystom, którzy tkwią całymi dniami, czy nocami przy sztalugach, ale robią to nieregularnie. Identycznie jest z pisaniem i z muzyką. Z papierem się nie rozstaję. W plecaku, który jest moim „znakiem firmowym", mam zawsze papier i długopis. Dlatego w każdym miejscu mogę zapisać fragment

wiersza czy piosenki. Ponieważ żyję skromnie i nie mam pracowni, „art” chowam pod szufladami szaf, zaś rękopisy trzymam w dwóch dużych torbach turystycznych. W ten sposób unikam słynnego pisania do szuflady tak podobno znienawidzonego przez wszelkiej maści twórców, ponoć za ostrzejszej komuny polscy pisarze w kraju pisali do szuflady. Jak nastąpiła odwilż po Gomułce polecono im je otworzyć. No i co? Były puste. Zamysł czy koncepcja potrafi mi się zrodzić na długo przed pisaniem czy malowaniem i nabiera mocy jak wino. Czytałem, że Henryk Sienkiewicz, który miał słaby wzrok, obmyślał swoje utwory na polowaniach. Czasami mam gotową koncepcję tego co rysuję, czy piszę, ale w trakcie działania najczęściej ulega ona zmianom, bo dodaję spontanicznie jakieś nowe elementy. W odpowiedzi na żart o Krynickim i Białoszewskim nie zawsze chodzę i zawsze coś robię.

Pewnie nawet jak Pan leży, jak u Białoszewskiego: „takie leżenie-my lenie jak ja lubię/ to jest niedobre z natury/ bo niech ja w naturze/ tak sobie leżę-myślę/ to zaraz napadnie mnie coś i zje”. Dobrze, to wiemy już jak Pan tworzy i leży, a brakuje Panu czegoś, kogoś? Plaże i ocean to jedno z pańskich oczarowań Australią i zachwytów przyrodą, o czym czytam w autotematycznym wierszu *Australijskie fascynacje Adama,* ale w: *Plaży,* podmiot mówi: ”Polskie morze wydawało mi się/ bardziej nostalgiczne niż Ocean Indyjski/ (nawet mewy miały inny głos)/ Droga między

rajem i krajem/ Jest długa”, a w „Paradoksie” czytamy: Jest taki paradoks/ że Polskę wyczuwa się lepiej/ będąc za granicą/ Iwaszkiewicz pisał swoje/ *Podróże do Polski*/ w hoteliku w Wenecji/ (…)/ Miłosz dostał Nobla/ za spojrzenie na kraj/ z zewnątrz/ Wańkowicz i Kuncewiczowa/ wyczuli, że życie w PRL-u/ nie jest znowu/ takie koszmarne/ oficjalnie/ i wśród czytelników/ odnosili sukcesy”. Więc jak to jest? Tęskni Pan za Polską? Za czymś specyficznie? Starymi drzewami, lasami, plażami, miastami? Ma Pan tam kogoś bliskiego? Utrzymuje pan kontakt z kimś ze środowiska, z którego Pan wyszedł?

Oczywiście tęsknię, tęsknię za babim latem jesienią, dymami na polach po kartofliskach, ciągle widzę obraz Chełmońskiego przed oczami…, i za skrzypiącym śniegiem migocącym w słońcu, czytałem taki ładny Pani wiersz o tym, i – przede wszystkim – za bardzo świeżą wiosenną zielenią. Ja mam Polskę w pigułce dzięki „Wydarzeniom” w TV Polsat, ale czasami bardziej niż treść tych audycji interesują mnie polskie drzewa, alejki, parki, stare dworki, które przy jakiejś okazji pokazują. W tej dziedzinie korzystam również z Internetu. Tutaj nie ma tej świeżości zieleni co tam. Wiosna wybucha w buszu jedynie masą drobnych kwiatów. Jeżeli chodzi o miasta to tęsknię za czymś drobniejszym, jak Kazimierz Dolny nad Wisłą. Także Lublin. Najmniej tęsknię za Warszawą, pomimo że przebywałem w niej kilkanaście lat. Przed oczami mam ciągle, zwłaszcza we snach,

omszały pomnik radzieckich żołnierzy, tzw.”Śpiących” na Pradze. Moja nostalgia nie jest groźna, bo w Polsce rodziny już nie mam, ta bliska mi wymarła. Inna rzecz, że być może upływ czasu i moje ironiczne usposobienie przerwały moje kontakty z Polską. Jest wyjątek, bo dobrze ciągle się porozumiewam z poetą Grzegorzem Zienteckim, byłym dalekomorskim marynarzem, lublinianinem z pochodzenia. Nauczyłem się od Niego pisać haiku i mam ich w tej chwili około czterystu, a ciągle „produkuję”. Zientecki bardzo lubi moją sztukę, dlatego ciągle mu coś posyłam w podarunku. Ostatnio z Henrykiem Rejem, nie z Nagłowic, ale z Tych, wydaliśmy w Polsce wspólnie książkę *Head made*, z Jego aforyzmami i moimi ilustracjami. Oczywiście jest w kraju mój wydawca, Mieczysław Mączka z *Miniatury,* którego cenię za humor i ironię zbliżoną do mojej. Muszę dodać, że dzięki pewnej Pani Teresie Podemskiej krąg moich znajomości odżywa i jakby się poszerzał.

Wywiad ukazał się w: *Rita Baum*, 2017. nr 43, wiosna, s.71-5.

*

Zobacz też:

> Adam Fiala. Artysta niepokorny.

> Adam Fiala. Turpizm australijski.

> Adam Fiala – wiersze i rysunki

Dzieci na wojnie



Wilek Markiewicz w swojej pracowni, czerwiec 2004 r., fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

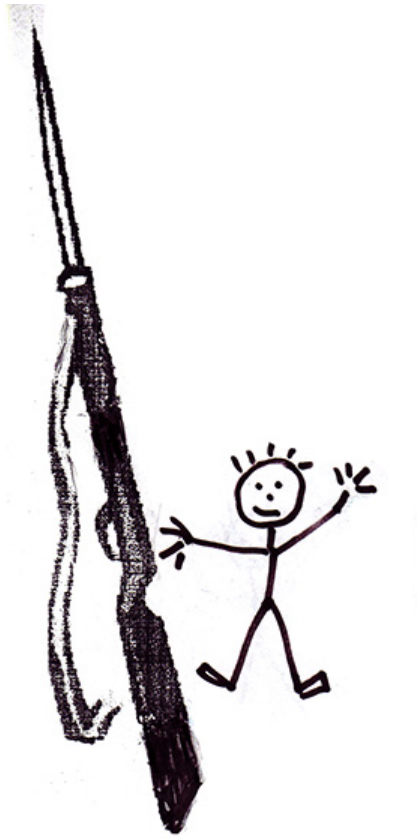
Dwudziestego czwartego lutego rozpoczęła się wojna na Ukrainie. Świat oniemiał i się zatrzymał w przerażeniu. Niewyobrażalne okrucieństwa miały miejsce w Europie podczas II wojny światowej, ból i cierpienie wciąż spotykają ludzi w różnych częściach świata, gdzie toczą się wojny powodowane chciwością, walką o władzę, o panowanie nad światem… I nic? Człowiek się nie uczy? Dalej pozwalamy agresorom na akty terroru? Przez pierwsze dwa-trzy miesiące media bez przerwy podawały wieści z frontu. Oburzaliśmy się, gdy odkrywano na Ukrainie kolejną zbiorową mogiłę i krzyczeliśmy NIE!, rzuciliśmy

się do organizowania pomocy dla uchodźców, dziesiątki wolontariuszy z całego świata przyjeżdżało na granicę polsko-ukraińską. Wydwało nam się, że protest świata i sankcje spowodują zatrzymanie tego koszmaru, który we współczesnym, jak nam się wydaje, cywilizowanym świecie, nie powinien się wydarzyć. Tymczasem wojna trwa. Codziennie giną ludzie, codziennie są okaleczani i okradani ze swojego życia. A my wróciliśmy do swoich obowiązków, pracy, wakacyjnych planów, spotkań. Ile przecież można oglądać koszmar wojny? Znieczuliliśmy się, zobojętnieliśmy. Przestaliśmy słuchać Wołodimira Zelenskiego i jego dziesiątek apeli do świata. Żyjemy swoim życiem. W tym kontekście sięgnęłam po dawny tekst autora magazynu, świetnego, choć często mrocznego artysty z Toronto, zmarłego w 2014 roku, Wilka Markiewicza. W okrutnych czasach najbardziej cierpią najsłabsi, zależni od dorosłych. A wojna nie tylko okrada dzieci z ich dzieciństwa, ale i zabiera im przyszłość.

Joanna Sokołowska-Gwizdka, redaktor

*

Wilek Markiewicz *(Toronto)*



Wilek Markiewicz, Gunchild

Otrzymałem incognito faks artykułu z *Toronto Sun*: „Zbyt młodzi by umieć czytać, dość starzy by umrzeć” pióra J. Bushinskiego. Tekst faksu był nieczytelny, lecz tytuł mnie wystarczająco zainspirował, by się zastanowić nad problemem dzieci bądź walczących, bądź pasywnych ofiar, z premedytacją lub bez.

Victor Hugo pisał o Gavroche’u, który zginął na barykadach Paryża. Holendrzy unieśmiertelnili historię chłopca, który zmarł z zimna zatykając palcem cieknącą tamę. Wojna jest wojną, czy to przeciw ludziom czy elementom. Pisałem dawno o fakcie z Powstania Warszawskiego, który mi opowiedział naoczny świadek – Włoch służący w Wehrmachcie: dziewczynka może 13-letnia, w mundurku harcerskim, strzelała z automatu do

Niemców. Szrapnel oderwał jej ramię i ona kontynuowała strzelając JEDNĄ RĘKĄ, aż do chwili śmierci. Insynuowanie, że rodzice ślą dzieci na śmierć (karykatura w złym guście akompaniująca artykuł w *Toronto Sun*), jest oszczerstwem: na przykład ci, którzy brali udział w Powstaniu jako dzieci, powiedzieli mi, że umknęli rodzicielskiej kontroli.

W Afganistanie, uzbecki lord wojenny (więc anty-Taliban), 14-letni i żonaty (!!!) przedstawił się zachodnim dziennikarzom jako dziedziczny szef, jednak akceptujący rady bardziej doświadczonych wujów. Powiedział, że dzieci dużo młodsi od niego biorą udział w walce. Jego zdaniem, dzieci są doskonałymi bojownikami, bystrymi, odważnymi i szybszymi od dorosłych. Więc walczące dzieci pozostaną prawdopodobnie tu i ówdzie faktem.

Teraz o dzieciach – pasywnych ofiarach: słyszeliśmy o historiach żołnierzy (prawdopodobnie upitych), którzy zawiązywali niemowlęta w worku z kotem i wrzucali do rzeki. Wiemy o niemowlętach nabitych na pal. Lecz przeważnie dzieci padają jako ofiary przypadkowo. Niektóre tragedie są bardziej do uniknięcia od innych. Weźmy za przykład dzieci izraelskich osadników w palestyńskich terytoriach: ci osadnicy nie są cywilami lecz komandosami. Kolonizacja jest aktem wojennym, w którym każdy dom jest polem walki. Wystawianie dzieci na podobne warunki świadczy o totalnym braku odpowiedzialności

ze strony rodziców.

Czasem dzieci są zaciągnięte do armii, jak w niektórych krajach Afryki. Praktycznie we wszystkich sytuacjach dzieci – ochotnicy działają poza nawiasem regularnych armii. Naziści zwali partyzantów bandytami. Dziś oni są zwani terrorystami. Dla mnie, nieregularni są bojownikami o wolność, gdy walczą w samoobronie i terrorystami, gdy działają jako agresorzy. Ci, którzy atakują cywilów są zawsze terrorystami. Różnica się zaciera miedzy nieregularnymi, a lotnikami, którzy, w Afganistanie na przykład, z bezpiecznej odległości walili we wszystko co na dole.

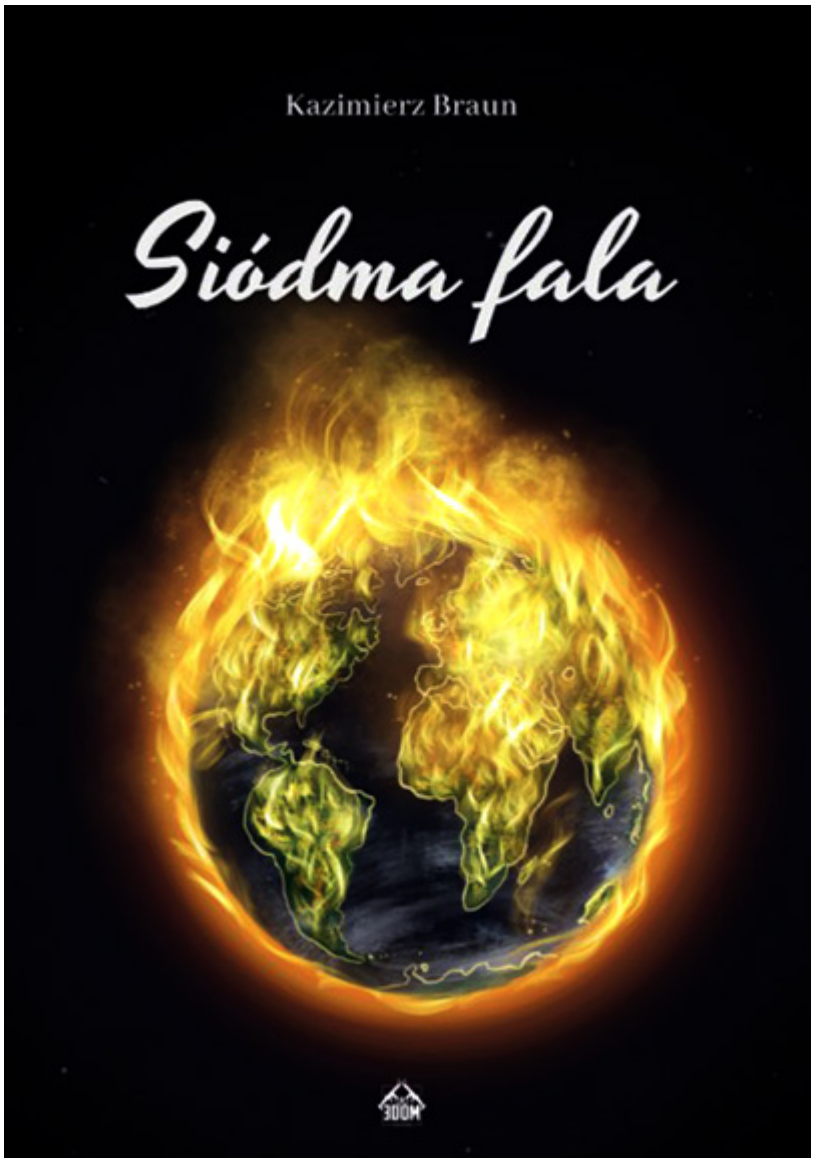
*

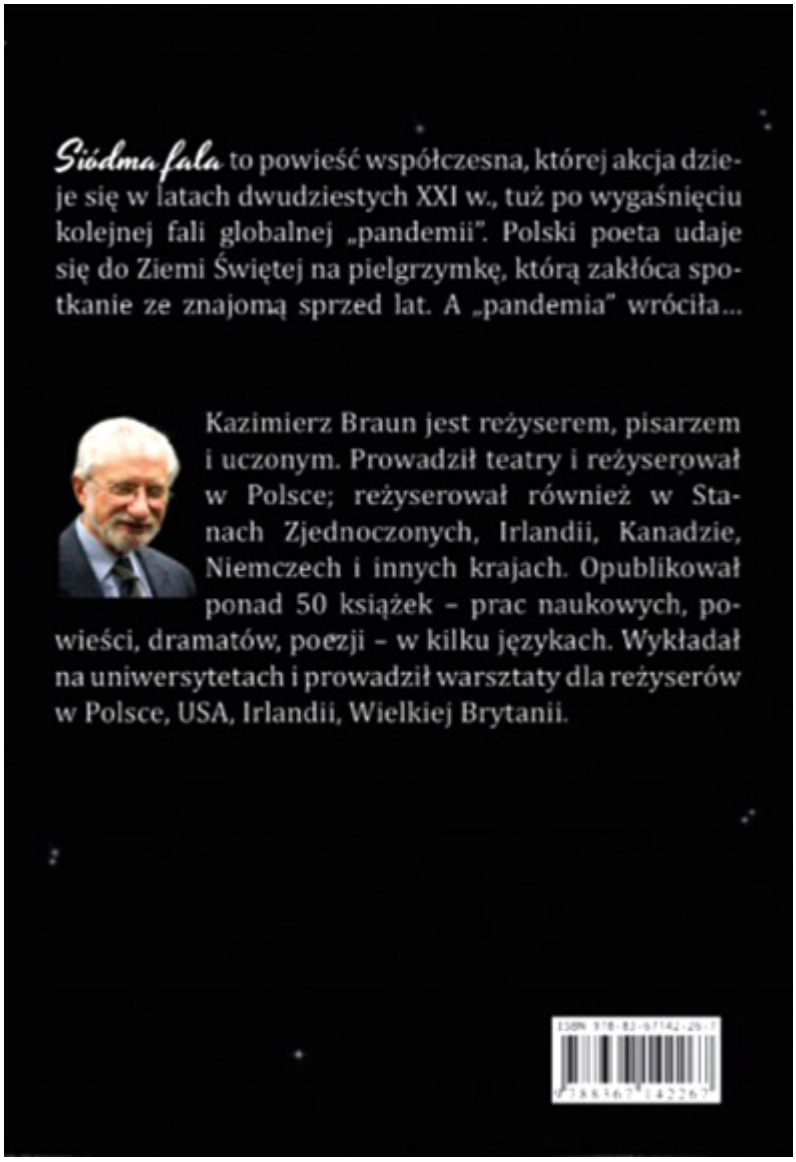
Zobacz też:

> Filozof bytu

> Wilek Markiewicz – drzeworyty

Lotnisko Ben Gurion





Kazimierz Braun, Siódma fala, wyd. 3DOM, 2022 r.

*

On: Zbigniew Kubitowski, profesor literatury, emerytowany redaktor naczelny stołecznego pisma literackiego „Strofy", tajny korespondent paryskiej „Kultury" podczas stanu wojennego, z rodzinną AK-owską przeszłością.

Ona: Esther Levi, urodzona w tym samym, co on 1955 roku,

absolwentka tego samego kierunku na tym samym Uniwersytecie, czyli warszawskiej polonistyki. W Polsce występowała pod innym nazwiskiem. Żydowskiego pochodzenia. Była Naczelnikiem Wydziału Literatury w Urzędzie Cenzury. Piękna kobieta, choć bezwzględna jako cenzor. Jeden z trybików systemu represji. On, jako redaktor naczelny pisma literackiego, wielokrotnie bywał w jej gabinecie, walcząc o każde zdanie swoich autorów. Po zakończeniu stanu wojennego, w 1984 r., przewidując zmiany, jakie nastąpią w Polsce, skorzystała ze swoich koneksji oraz informacji jakie zebrała będąc na takim stanowisku, a także wykorzystując swoje pochodzenie i przez Paryż wyjechała do Izraela.

Po wygaśnięciu kolejnej fali pandemii Zbigniew Kubitowski niespodziewanie otrzymuje zaproszenie na festiwal literacki „Poesia Mundum in Publico" z *The Hebrew University of Jerusalem*. Zaproszenie podpisała prof. Esther Levi, obecnie ekspert od literatury porównawczej.

Powieść Kazimierza Brauna „Siódma fala" opowiada o zmaganiach z wszelkiego rodzaju ograniczeniami, brakiem wolności, cenzurą, nakazami, zakazami, podporządkowaniu jednostki nie tylko totalitarnej władzy, ale i wielkim koncernom oraz mitom, tworzonym na potrzeby potężnych grup, rządzących światem. Bohaterowi przyjdzie zmierzyć się z tym, co powie prof. Levi, na temat mechanizmów władzy, tworzenia fałszywych

dowodów, przeciwko osobom niewygodnym, mistyfikacji, zmuszania do podejmowania decyzji wbrew własnym wyborom, kreowania rzeczywistości zgodnie z propagandą. Autor sam doświadczył na sobie tych metod, więc zna je doskonale.

Fala pandemii, podporządkowywanie się restrykcjom covidowym, też spowodowały ingerencję w wolność jednostki.

Czy wyjazd do Ziemi Świętej i konfrontacja z przeszłością da odpowiedzi na wiele pytań egzystencjalnych? Czy podróż po miejscach związanych z chrześcijańską tradycją, dla ateisty, jakim czuje się bohater, spowoduje jego odnowę duchową, przemianę metafizyczną? Wobec ciągłych informacji medialnych o olbrzymiej umieralności z powodu wirusa, człowiek zadaje sobie pytanie czy istnieje tylko ciało, czy jest coś poza nim, czy duch jest wieczny? Bohater powieści będzie więc musiał zmierzyć się z wieloma nurtującymi go problemami, z różnych obszarów. Taki scenariusz podsunęło mu życie.

Joanna Sokołowska-Gwizdka, redaktor

*



Izrael, fot. pixabay

Fragment powieści „Siódma fala”

Kazimierz Braun *(Buffalo, USA)*

Stał już dłuższą chwilę przed wojskowym w oliwkowym mundurze studiującym uważnie jego paszport. Kontrola graniczna. Lotnisko Ben Gurion. Wojskowy był zasłonięty szeroką plastikową szybą, z małym tylko otworem u dołu, w który Zbigniew Kubitowski wsunął kilka minut temu swój paszport. Za tym wojskowym stała grupa młodych żołnierzy, mężczyzn i kobiet, z ogromnymi – takie przynajmniej robiły wrażenie – karabinami maszynowymi. Niektórzy mieli je powieszone na ramionach, na za długich parcianych pasach; któryś trzymał swój karabin myśliwskim sposobem oparty o przedramię; inny pod

pachą. Patrzyli na niego smutnymi oczami, bez uśmiechu. K. wyczuwał, że również za jego plecami stoi kilku takich żołnierzy, którzy uplasowali się tam, gdy podchodził do kontroli.

To było pierwsze, uderzające wrażenie na ziemi państwa Izrael. Zastanowiło go to – ci młodzi ludzie bez uśmiechu, z ogromnymi karabinami. Uświadomił sobie, że zawsze, odruchowo, instynktownie, młodość kojarzyła mu się z uśmiechem, nawet z głośnym śmiechem, lekkim ruchem, swobodą, żartem, dowcipem, tańcem, sportem, grą. Tacy byli koledzy w szkole, na studiach, tacy byli jego studenci, tacy byli młodzi poeci przynoszący mu do redakcji swoje wiersze. Och, oczywiście, nie wszyscy, nie zawsze i nie wszędzie. Nie w czasie egzaminów, nie przy niezliczonej ilości innych okazji, gdy obowiązywała powaga. Jednak powaga młodych, których sobie przypominał, była powagą skupienia, a nie smutku, jaki – jak mu się wydało – wyczytał w oczach tych młodych izraelskich żołnierzy. Byli bardzo młodzi, a zarazem bardzo smutni.

Wojskowy kartkujący jego paszport dawał mu dużo czasu na te myśli. Odwrócił głowę i spojrzał na grupę żołnierzy stojącą za nim. Uśmiechnął się. Nie otrzymał uśmiechu w odpowiedzi. Patrzyli na niego uważnie, z zainteresowaniem, na, tak, oczywiście, najwyraźniej, jako na obcego.

(…)

Wciąż pochylony nad jego paszportem oficer sięgnął tymczasem po telefon i z kimś rozmawiał, rzucając raz i drugi okiem na pasażera stojącego przed jego stanowiskiem.

– Czy oni mnie w ogóle tutaj wpuszczą? – pomyślał K. – Może cały ten pomysł z eskapadą do Izraela był głupi, niepotrzebny, szalony.

A było to tak, że gdy otrzymał zaproszenie na Światowy Festiwal o nazwie „Poesia Mundum in Publico" w Tel Awiwie, najpierw długo zastanawiał się czy warto podejmować trud podróży, narażać się na zmianę klimatu, na nocowanie w niewiadomo jakim hotelu, jedzenie jakichś potraw, może i smacznych, ale zapewne niezdrowych, z punktu widzenia diety, którą stosował, spotykanie się pewnie z nowymi i ciekawymi ludźmi, ale pewnie także z nudziarzami, jakich nigdy nie brak na takich zgromadzeniach.

Nie był nigdy na Bliskim Wschodzie. Nie było okazji. Choć podróżował wiele po świecie – oczywiście po Europie, ale był także dwa razy w Ameryce, raz w Brazylii, raz Chinach. W Izraelu nigdy. A przy tym, organizatorzy oferowali znakomite, atrakcyjne warunki: zwrot kosztów biletu lotniczego klasą business, opłacenie hotelu, hojne diety dzienne, a na dodatek honoraria za udział w spotkaniach autorskich. Gratka. W programie festiwalu były przewidziane także dni przeznaczone

na dwie „wycieczki turystyczne”, jak napisano, po Jerozolimie i nad Morze Martwe, tu z uwagą, aby zaopatrzyć się kostium kąpielowy. To też kroiło się atrakcyjnie.

Jak zawsze przy takich okazjach sprawdził dokładnie, kto przysłał mu to zaproszenie. Pochodziło z *The Hebrew University of Jerusalem*. Podpisane było przez przewodniczącą komitetu organizacyjnego festiwalu, profesor Esther Levi.

Także swoim zwyczajem „wyguglał” nieznane mu nazwisko. Ta uczona miała porządne hasło w Wikipedii. Zwróciło jednak jego uwagę, że w rozdziale biograficznym było napisane, że urodziła się w Warszawie w 1955 roku (była więc jego rówieśnicą) i tamże studiowała literaturę polską.

– Polonistykę? – zastanowił się. – Nie miałem takiej koleżanki. Chociaż – myślał dalej – mogła być o rok wyżej, bo ja, gdy zdawałem, i jak sądzę zdałem bardzo dobrze, egzamin wstępny na polonistykę, to nie zostałem przyjęty, z moim inteligenckim pochodzeniem, z AK-owską przeszłością moich rodziców.

Przypomniał sobie jak podchodząc do egzaminu wstępnego po raz drugi, wpisał w ankiecie personalnej w rubryce „pochodzenie”, sakramentalnej formułki: „inteligencja pracująca”, tyko „robotnicze”, bo – nieprzyjęty na studia, poszedł do pracy, po prostu na budowę i był zwykłym robotnikiem. Z tak

wypełnioną ankietą, a na dodatek ze „skierowaniem na studia w drodze awansu społecznego”, jaki wystawiła mu „personalna” w biurze budowy, na studia się dostał o rok później od swojego rocznika.

– Więc ta kobieta, ta profesor Levi, choć rówieśnica, mogła być o rok wyżej ode mnie. A wydział duży. Nie znało się wszystkich.

W biogramie profesor Levi nie było – co go wtedy mocno zdziwiło – nic więcej o, długim przecież, rozdziale jej życia w Polsce. Tylko, że w 1984 r. przeniosła się do Izraela.

– Zaraz, zaraz, jeśli skończyła tę polonistykę gdzieś we wczesnych latach siedemdziesiątych, to musiała gdzieś pracować w Polsce przez około dziesięć lat. I nic o tym? Gdzie pracowała? Co robiła? Nic? – Ano, nic. Intrygujące. Przecież wygląda na to, ze była jego koleżanką, polonistką.

Jeszcze chwile grzebał wtedy w Internecie, ale niczego się więcej o tej profesor Levi nie doszukał. W Wikipedii było tylko, że w Izraelu uzyskała doktorat z literatury porównawczej, wykładała, została profesorem, od lat była dziekanem Wydziału Literatury Porównawczej na Uniwersytecie w Jerozolimie. Miała solidną, choć niezbyt długą listę publikacji książkowych na tematy literaturoznawcze w hebrajskim, a także w niemieckim i rosyjskim – musiała znać te dwa języki. Nie zajmowała się

literaturą polską, choć, jak wynikałoby z jej życiorysu, musiała znać język polski.

Były też w Internecie fotografie tej kobiety. Jej twarz wydała mu się jakby znajoma, ale przecież nie znał w Warszawie żadnej pani Levi. No cóż była polską Żydówką, wiele było takich i wielu Żydów wyjeżdżało z Polski do Izraela. Zwłaszcza dwoma falami – po wojnie, a szczególnie licznie po ogłoszeniu przez Izrael niepodległości w 1948 r. i obronieniu jej przed Arabami oraz po 1968 r.. Za pierwszym razem załapywali się na ogromnie korzystne możliwości osiedlenia stwarzane przez programy stymulujące imigrację Żydów z całego świata do nowo powstałego państwa. Za drugim razem korzystali z pretekstu gomułkowskiej kampanii antysemickiej. Ale wyjeżdżali także indywidualnie w różnym czasie. Tak, czy inaczej, nie znał tej kobiety, choć pomyślał, że jak się z nią spotka, to będą mogli rozmawiać po polsku.

Cały festiwal zaplanowany był z wielkim rozmachem i niewątpliwie miał – wytknięty przez organizatorów – aspekt propagandowy: przedstawienie Izraela jako kraju pokojowego, opiekującego się kulturą i sztuką, przyjaznego twórcom z całego świata. Nie podobało mu się to – wyraźnie wyczuwalne – narzucenie uczestnikom Festiwalu ról zwolenników tego państwa, ale pomyślał, że w żadne działania, czy też deklaracje zatrącające o politykę, po prostu by się nie wdawał. Natomiast

wykorzystałby podróż turystycznie, zwiedzając nieznane sobie do tej pory miejsca.

Niepokoiło go przy tym także, czające się gdzieś głęboko i drugie niebezpieczeństwo, którego nie chciał nawet sam dla siebie artykułować, ale ono snuło się po jego podświadomości i nie dawało się łatwo wyprzeć. Oto znajdzie się przecież w Ziemi Świętej. Od lat ateista, pamiętał jednak z dzieciństwa i jeszcze z lat szkolnych ewangeliczne opowieści o wędrówkach Jezusa po tamtych terenach. Był przecież nawet przez dobrych parę lat ministrantem, jeździł na „Oazy" księdza Blachnickiego, chodził na rekolekcje studenckie do kościoła św. Anny. Wiedział, co się wydarzyło się dwa tysiące lat temu w jakimś domku w Nazarecie i w polnej szopce pod Betlejem, jakie wydarzenia opisywane w Ewangeliach działy się nad Jordanem, jakie w okolicy Kafarnaum, a wreszcie co stało się w Jerozolimie.

Nawiedzała go więc niejasna obawa, że konfrontacja z tymi miejscami, związaną z nimi pamięcią pokoleń, dotknięcie reliktów i artefaktów chrześcijaństwa, skonfrontowanie się z tradycją Kościoła Katolickiego, niewątpliwie właśnie tam żywą i namacalną, może zachwiać jego dumny, obnoszony publicznie „naukowy pogląd na świat", albo i podważyć jego decyzję zerwania z katolicyzmem, którą podjął będąc na drugim roku studiów, więc dokładnie w wieku 21 lat. A teraz miał przeszło siedemdziesiątkę. Od pół wieku był oficjalnie „niewierzący".

Rozważając czy ma się na ten festiwal wybrać, uświadomił sobie także, że w grę wchodzi dodatkowo element miłości własnej. Oto z Polski został zaproszony właśnie on, a nie ktoś inny. A skoro już został w ten sposób jakoś wybrany, wyróżniony, namaszczony przez organizatorów festiwalu, to w czasie jego trwania będzie niewątpliwie celebrowany na tym międzynarodowym forum, jako „wybitny polski poeta". Niektórzy koledzy poeci – znał ich wielu w różnych krajach – będą mu zazdrościć, może nawet częstować ironicznymi uszczypliwościami, ale znajdą się też pochlebcy i miło będzie słuchać ich laudacji, komplementów. Zgromadzeni na spotkaniach autorskich słuchacze będą klaskać po przeczytaniu przez niego każdego wiersza. Dziennikarze na konferencjach prasowych będą mu zadawać głupie pytania, na które on będzie odpowiadał błyskotliwie, popisując się swoją erudycją, inteligencją, zaskakującymi diagnozami i znajomością kilku języków.

W sumie – zdecydował się pojechać. Od razu zaczął się szykować do podróży, wybierając z półki tomiki swoich wierszy, a w tomikach zaznaczając te, które chciał przeczytać na, planowanych w ramach Festiwalu, spotkaniach autorskich. Wydobył następnie te wiersze z komputera i – zgodnie z prośbą organizatorów festiwalu – przesłał je Internetem. Miały być przełożone na hebrajski i odczytywane przez tłumaczy. Taki organizatorzy proponowali format spotkań: poeta czyta swój wiersz w swoim języku, a zaraz potem odczytuje go po hebrajsku

tłumacz. Po wystąpieniu poety, a w każdym spotkaniu miały wziąć udział trzy osoby, miałaby się odbyć dyskusja z udziałem zgromadzonej publiczności.

Organizatorzy prosili, aby każdy z uczestników festiwalu wziął udział w trzech publicznych spotkaniach. Miały się one odbyć w jakichś klubach kultury i na uniwersytetach w różnych miejscowościach. Festiwal miał też program turystyczny. Kroiły się więc ciekawe wycieczki. Był też „bal pożegnalny". Ostatnia „biesiada poetycka" z udziałem wszystkich gości festiwalu została zaplanowana w ogrodach rezydencji prezydenta państwa z jego udziałem.

Dodatkowo, organizatorzy prosili o przysłanie kilku swoich książek na wystawę dzieł uczestników festiwalu. Został też poproszony – już indywidualnie, właśnie on, a nie ktoś inny, co łechtało jego miłość własną – o wygłoszenie referatu o współczesnej poezji polskiej na sesji teoretycznej w *The Hebrew University of Jerusalem* (taką nawę podano z zaproszeniu), która była pierwszym punktem obszernego programu festiwalu – był poetą, zresztą także prozaikiem, ale był przecież także profesorem literatury. Za ten wykład miał otrzymać osobne honorarium. Doprawdy – gratka.

Festiwal wyznaczony był na wczesną wiosnę roku 2020. I gdy już się psychicznie nastawił na tę podróż, gdy napisał swój referat,

gdy wysłał swoje wiersze do przetłumaczenia, a książki na wystawę, gdy już wykupił bilet lotniczy i zarezerwował hotel, wybuchła „pandemia”. Granice zostały zamknięte. Podróże zakazane. Festiwal, oczywiście, został odwołany.

(…)

Gdy sytuacja na świecie wreszcie wróciła, no, nie do normalności, ale do „nowej normalności”, organizatorzy Festiwalu ponownie rozesłali zaproszenia. Także i on je otrzymał. Już wznowiono normalną komunikację lotniczą. Już przestały obowiązywać drakońskie ograniczenia liczby osób na imprezach sportowych, w kościołach, w salach wykładowych.

– Więc i na spotkaniach autorskich – pomyślał.

Już nie trzeba było nosić stale masek-kagańców, obowiązkowo testować się i obowiązkowo szczepić przed każdą podróżą, a potem okazywać „paszport szczepionkowy” podchodząc do lady jakiejś linii lotniczej, do kontroli bagażu ręcznego, i jeszcze raz przy wejściu do samolotu, i jeszcze raz przy kontroli granicznej w porcie docelowym.

I oto stał już od kilku minut przed izraelskim oficerem za plastikową szybą stanowiska kontroli paszportowej, a tamten ciągle coś sprawdzał w komputerze, gdzieś telefonował.

Najwyraźniej był dla niego kimś podejrzanym. No cóż, mogły być, co najmniej, dwa tego powody. Jego działalność opozycyjna pod komuną. I jego choroba w czasie „pandemii”.

Jak wiadomo, liczne służby wielu krajów interesowały się działaniami opozycjonistów polskich – i w jednych krajach zdobywały one poklask, a w innych stanowiły niezmywalną plamę. W każdym razie na pewno były notowane w komputerowych bazach danych wywiadów wojskowych i cywilnych.

On zresztą, zanim został opozycjonistą, umiejętnie balansował latami na powierzchni zatęchłego stawku peerelowskiej literatury. Ani nie zapisał się, mimo kilkakrotnych zachęt, do rządzącej partii komunistycznej, ani się nie włączył w bulgoczące gdzieś na dnie tego stawku działania opozycyjne.

W sumie, miał w środowisku zasłużoną etykietę sprytnego lawiranta, a zarazem, paradoksalnie, kogoś bardzo niezależnego. Był niewątpliwie umiejętnym ekwilibrystą i umiejętnym charakteryzatorem potrafiącym jakby kilkoma kreskami szminki, czy tuszu, zmienić swoją twarz, zależnie od tego z kim rozmawiał, gdzie się znajdował. Tak działał, a raczej pływał, latami, po płytkim bajorku literackim.

Przymusowe kontakty, zadawanie się z rządcami kraju, z

partyjnymi aparatczykami zawsze go brzydziły. A takie kontakty musiał utrzymywać, jako redaktor naczelny stołecznego czasopisma literackiego. Musiał chodzić na rozmowy do KC PZPR i do Ministerstwa Kultury, na które był wzywany, albo sam o nie prosił, pragnąc załatwić jakąś sprawę, o której decydowali „decydenci". Tylko do Urzędu Cenzury chodził chętnie, bo tam spotykał się, rozmawiał, negocjował z piękną kobietą, która była Naczelnikiem Wydziału Literatury. Ale to była tylko wąska szpara w małym lufciku wykrojonym gdzieś pod sufitem dusznej piwnicy, w której, wraz z całym literackim środowiskiem na co dzień mieszkał i często, po prostu, się dusił.

Natomiast z opozycjonistami miał częste, zawodowe i towarzyskie kontakty, ale nie włączał się w ich jawne akcje – w ich strajki głodowe, czy podpisywanie jakichś memoriałów. Nie uczestniczył też w opozycyjnych działaniach ukrytych, jak przemycanie za granicę informacji i utworów literackich – to do czasu, do czasu. Przy wódce, którą pił umiarkowanie, wysłuchiwał utyskiwań swoich kolegów na zaprowadzone w Polsce przez Sowietów porządki, utrzymywane latami, jak to kiedyś dowcipnie nazwał Ireneusz Iredyński, przez ich polskich „podwykonawców". Ale sam nie zwierzał się nigdy i nikomu ze swoich prawdziwych poglądów. Gdy został naczelnym „Strof" to zaraz zaprosił do kolegium redakcyjnego i partyjnego Mariana Grześczaka, i opozycjonistę Bogdana Urbankowskiego. Publikował ich teksty i w ogóle starał się jak najszerzej otwierać

wachlarz autorów dobieranych z lewa i prawa – z prawa, oczywiście na ile dopuszczali do tego cenzorzy, w tym szefowa piramidy cenzorskiej władzy.

Sam zamieszczał w „Strofach” swoje utwory rzadko, nie chcąc wykorzystywać swego stanowiska dla promowania siebie samego, ale za to pisał cotygodniowy „wstępniak”, a raczej felieton, w którym musiał zawsze jakoś wywiązać się z obowiązku lansowania bieżącej „polityki kulturalnej”, ale zarazem czynił to w sposób pokrętny, niejednokrotnie nawet dwuznaczny.

Podpisywał te felietony tylko K. Oczywiście, był to inicjał jego nazwiska, Kubitowski, i o tym wszyscy wiedzieli, ale sam dla siebie, traktował to K. jako kryptonim słowa „Każdy”, a więc imienia bohatera średniowiecznego moralitetu. W ten sposób K. stawał się właśnie każdym – każdym człowiekiem myślącym i inteligentnym (a miał przekonanie o błyskotliwości swojej inteligencji), każdym Polakiem, mieszkańcem PRL-u. W ten sposób K. był – w jego mniemaniu – głosem wielu, przemawiał w imieniu wielu. Bardzo mu samemu imponowała i podobała się tak szeroka interpretacja tego inicjału. Zawsze, gdy po tekście swego felietonu stawiał swoje K. puszył się sam przed sobą, że oto przemówił w imieniu ogromnej rzeszy.

Odmieniło go lato 1976 roku. Zelektryzowały go wiadomości o strajkach, starciach, represjach w Radomiu i Ursusie szeptane w

kawiarni Związku Literatów Polskich na Placu Zamkowym, dramatycznie przedzierające się przez zagłuszarki Wolnej Europy. Pojechał do Radomia, pojechał do Ursusa, rozmawiał z ludźmi.

Odczuł nagle nieznośny ciężar kapelusza, którym kłaniał się partyjnym nadzorcom życia literackiego. Poczuł obrzydliwość smaku podtykanych mu do polukrowania w cotygodniowym wstępniaku wytycznych propagandowych bieżącej „polityki kulturalnej" PRL-u. Rozejrzał się dookoła i jakby w świetle punktowego reflektora tak wyraźnie zobaczył biedę i szarość kraju. Chodząc po mieście zaczął liczyć ilu ludzi stoi w kolejce przed sklepami.

Po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, że jako pisarz ma obowiązki. Nie wolno mu w wierszach rozczepiać tylko na delikatne włókna swego *ego*, ubierać w kunsztowne metafory swoje, i tylko swoje, przeżycia, nastroje. Ma obowiązek pisać o ludziach, o kraju, o życiu jakie jest dookoła.

Wiedziony nagłym impulsem napisał ostry reportaż o tym, co się stało – o strajkach i pochodach, o biciu i aresztowaniach, o gniewie. Gdy skończył stukać na maszynie uświadomił sobie, że jest to tekst absolutnie niecenzuralny, że jego „służbowa znajoma", jak ją nazywał w myśli, w Urzędzie Cenzury niechybnie go zatrzyma. Nie zastanawiając się długo napisał na

następnej wkręconej na wałek kartce list do Redaktora Jerzego Giedroycia. Napisał obszernie i szczerze kim jest. Zaproponował swój reportaż. A jeśli Szanowny Pan Redaktor byłby tym zainteresowany – to on proponuje stałą współpracę.

Ale przecież nie mógł ani swego reportażu, ani listu zanieść po prostu na pocztę. To byłby koniec jego urzędowania na stanowisku redaktora naczelnego „Strof". Może i początek jakiegoś procesu, odsiadywania jakiegoś wyroku. Przecież tak nękano nie kogo innego tylko Mistrza i Nestora Melchiora Wańkowicza, za treść prywatnych listów, nawet nie za publikacje za granicą.

Wymyślił. Włożył reportaż i list do jednej koperty. Na osobną kartkę przepisał, z wyciągniętego z pudła pod łóżkiem numeru „Kultury", adres w Maison Lafitte. Poszedł do Ambasady Kanadyjskiej – dlaczego Kanadyjskiej? Tak sobie to skombinował. Jego wejście do Ambasady Francuskiej, naturalnie rejestrowane przez milicyjne kamery, stanowiłoby oczywisty trop. A znów dla Niemców, czy Włochów, sprawa, z którą się wybierał, mogłaby nie być woogóle interesująca. Więc Kanada, kraj prawie socjalistyczny, acz „zachodni", to jednak w oczach reżimu nie taki zły, więc jakoś hołubiony, jako, potencjalna przynajmniej, przeciwwaga na pewno złej, kapitalistycznej Ameryki. Choć i to była ruletka. Postanowił zagrać.

Przedstawił się strażnikowi przy wejściu, jako redaktor naczelny czasopisma literackiego. Poprosił o rozmowę z konsulem od spraw kultury. Nie czekał długo. Przyjął go młody człowiek, o spojrzeniu bystrym, jasnej twarzy. Rozmawiali po francusku.

K. dokładnie opowiedział o sobie. Powiedział następnie, że postanowił wystąpić przeciwko nieludzkiemu reżimowi panującemu w Polsce i zwraca się do niego, reprezentanta wolnego kraju. Jako pisarz ma do dyspozycji jedną broń – słowo. Jednak w państwie komunistycznym nie ma wolności słowa, cenzura jest totalna i nie ma żadnej możliwości publikacji wolnego słowa. Oczywiście, poza drukami podziemnymi, ale te mają stosunkowo niewielki krąg czytelników. Wolne słowo polskie brzmi za granicą z radia z Wolnej Europy, z Głosu Ameryki. Wolne słowo polskie publikowane jest za granicami Polski. A najważniejszym wolnym polskim głosem jest miesięcznik „Kultura" wydawany w Paryżu. Dociera on na cały świat i jest również przemycany do kraju.

I tu cel jego wizyty u pana konsula. Oto jest reportaż o strajkach i starciach w Radomiu i w Ursusie – reportaż prawdziwy, zawierający fakty, oparty o wywiady z uczestnikami. Czy pan konsul zechciałby przesłać, zapewne pocztą dyplomatyczną, ten reportaż pod wskazany tu, na tej kartce adres w Paryżu? Acha, i żeby to było jasne. On, Zbigniew Kubitowski, zapewnia pana konsula, że nie jest prowokatorem. Nie jest przy tym, aby to też

było jasne, członkiem partii komunistycznej. Mówi wyłącznie prawdę. Prosi, aby pan konsul mu uwierzył.

Młody konsul słuchał go uważnie. Zadał potem parę surowych pytań. K. odpowiadał jasno i przekonująco. Konsul dał mu wiarę. Przyjął przesyłkę. K. gorąco podziękował. Już wstając, zapytał, czy mógłby przyjść znowu, powiedzmy za miesiąc, w takiej samej sprawie. Konsul się zgodził. Spotkali się ponownie.

A potem sam konsul zaproponował, jak w jakiejś opowieści szpiegowskiej, aby spotykali się regularnie co miesiąc, w umawianych za każdym razem innych miejscach. Na kolejne spotkanie K. przyniósł, zakupione przez siebie, dwie identyczne teczki. Dał konsulowi jedną. Przychodził z drugą. Łatwo było usiąść, na przykład w SPATiF-ie, niedaleko Kanadyjskiej Ambasady, i postawić te dwie teczki przy nogach stołu, a przy wychodzeniu pomylić się jakby i wziąć nie swoją teczkę, tylko tę drugą; a konsul brał teczkę zawierającą nowy materiał dla „Kultury”. Tak trwało miesiącami. Przedłużyło się w lata. Zmienił się Konsul. Następny, wprowadzony w proceder przez poprzednika, kontynuował grę.

Reportaże ukazywały się w „Kulturze”. Autorem był niejaki „Józef Dwernicki”. Reżim był wściekły. K. wiedział, że prowadzone są dochodzenia – kto to jest ten Dwernicki. Nie doszli do tego nigdy. A on prowadził od tamtego czasu podwójne

życia. Funkcjonował publicznie jako redaktor naczelny oficjalnie wydawanego czasopisma, a zarazem prowadził stałą, zakonspirowaną współpracą z paryską „Kulturą”. Każdy jej numer był czerwoną płachtą na byka komunistycznego reżimu.

Kontynuował przesyłanie swoich reportaży, gdy wybuchła Solidarność. Nie odsłonił przyłbicy autora „Kultury”, ale również i w kraju zaczął pisać odważniej, mówił o tym, że Sierpień 1981 roku to było dla całego narodu jak wyjście z ciemnej piwnicy na światło dnia, na powietrze. Po raz pierwszy od lat można odetchnąć głęboko.

W kolejnym wstępniaku w „Strofach” pochwalił się swoją AK-owską tradycją rodzinną. Odwołał się do niej w kilku wierszach. Ku zaskoczeniu wielu kolegów pisarzy stał się jednym z przywódców buntu w środowisku literackim. Wszedł do nowo wybranego Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. Organizował mitingi poetyckie towarzyszące wiecom i strajkom. Sam na nich przemawiał i czytał swoje wiersze. Zorganizował koło Solidarności w redakcji „Strof”. Wybrany na zjazd wolnego związku zawodowego w Hali Oliwii w Gdańsku, wygłosił płomienne przemówienie o niezbędności wolnego słowa dla normalnego funkcjonowania społeczeństwa. Zebrał długotrwałe, huczne oklaski. Opublikował zestaw swoich starych wierszy trzymanych do tej pory w szufladzie. Między innymi gniewną balladę, napisaną przez młodziutkiego poetę – którym był gdy ją

tworzył – spontanicznie reagującego na krwawą masakrę na Wybrzeżu w 1970 r. Publikował też teksty pisarzy do tej pory korzystających tylko z podziemnego „drugiego obiegu". Poświęcił cały jeden numer poezji Zbigniewa Herberta. Do „Strof" dodał comiesięczny dodatek – „Strofy młodych", zbierając w nim wiersze młodych i najmłodszych poetów i poetek, których do tej pory cenzorzy nie dopuszczali do publikacji, mimo jego usilnych starań.

Nie tylko on przecież – wielu innych, miliony innych wyszło wtedy z podziemia, ośmieliło się, zaczęło mówić pełnym głosem. A przeciwnik – reżim, jakby przywarował, wycofał się.

K. nie wiedział wtedy, i większość Polaków nie wiedziała, że reżim nie zrezygnował z ani szczypty swojej władzy, tylko w ukryciu zbierał siły do rozprawy z narodem, która miała nastąpić z datą 13 grudnia 1981. Ale wtedy wydawało się, że idzie wolność. Cenzura także zelżała. Paradoksalnie, tego redaktor „Strof" nieco żałował. Bo znikły powody częstych wizyt u pięknej „Towarzyszki Naczelnik" w Urzędzie Cenzury. Zaczął wręcz za nią tęsknić.

Sumując jego udział w „Karnawale Solidarności", odpowiednie służby nalepiły na nim etykietkę „opozycjonista". Z tą etykietką na czole został internowany w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku.

I tak już zostało. A raczej on został po tej stronie barykady, którą junta Jaruzelskiego rozbiła czołgami, i przez długich osiem lat czerniał po niej tylko ślad, jak te ciemne plamy spalonych samochodów, które widział na asfalcie przed Komitetem Wojewódzkim partii w Radomiu, gdzie pojechał zaintrygowany tym, co się tam stało, w lecie 1976 r.

Gdy wypuścili go z więzienia na wiosnę 1982 roku, to już w opozycji został. Zresztą nie miał do czego wracać. Jego czasopismo, „Strofy", zostało w międzyczasie po prostu zlikwidowane. On sam nie został „zweryfikowany", to jest dopuszczony do pracy, jako dziennikarz . Imał się różnych zajęć, także fizycznych, między innymi, przez kilka tygodni był pomagierem w przedsiębiorstwie oczyszczania miasta i nawet dobrze się wykształcił w podczepianiu kubłów na śmieci do wielkiej śmieciary. Publikował pod ziemią.

Więc – tak – dla urzędnika imigracyjnego obcego państwa – mógł być nadal podejrzanym „opozycjonistą", może wręcz wywrotowcem, może nawet kandydatem na terrorystę.

(…)

Trzy tygodnie choroby *(podczas padnemii, red.)* stanowiły – dla niego – kulminację tego koszmaru. Nasunęły myśl o możliwie bliskiej śmierci. Nie mogły mu nie nasunąć pytań o sprawy

ostateczne. (…) Pozostała jakaś dziwna czczość, nie, nie fizyczna – duchowa. Potrzeba zmierzenia się z zasadniczymi, ostatecznymi pytaniami o sens życia i sens śmierci. Po raz pierwszy od dawna poczuł, jak to nazwał sam dla siebie, „niedosyt wieczności". Po raz pierwszy od bardzo dawna zaczęła go trapić, wręcz przerażać myśl o unicestwieniu. Tylko materia? Tylko to śmiertelne ciało? Tylko te siedemdziesiąt lat? Już nic więcej? Już nic dalej? W ogóle – nic?

I gdy otrzymał po raz drugi zaproszenie na festiwal poezji w Tel Awiwu to natychmiast postanowił tam pojechać. Ale tym razem nie na wycieczkę turystyczną i na celebrację swego *ego* jako „wybitny poeta", ale w poszukiwaniu odpowiedzi na podstawowe, najprostsze, a także i te najtrudniejsze, pytania egzystencjalne. O egzystencję. O jej granice. O życie. O śmierć. O życie po życiu. O wieczność. O materię. O ciało. A może, jednak, i o duszę?

Zobaczył w tej podróży szansę przemyślenia tych pytań tam, gdzie dwa tysiące lat temu padały na takie pytania odpowiedzi. Takie problemy były tam i wtedy rozważane w nauczaniu wędrownego proroka, Jezusa Chrystusa. Odpowiedzi były udzielane słowem, ale także działaniem. Wynikały ze zdarzeń, jakie się tam rozegrały.

Więc zaplanował pielgrzymkę w poszukiwaniu ostatecznego sensu życia. Życia i śmierci.

Głównym założeniem tego nowego planu było całkowite ignorowanie współczesnej rzeczywistości krainy, w której miał się znaleźć. Już poprzednio postanowił nie dać się jakoś zmanipulować gospodarzom do wprzęgnięcia w ich machinę propagandową. Teraz umocnił się w tej decyzji, ale powody tego sytuowały się nie w „dziś”, ale we „wczoraj” – chciał jakoś rekonstruować dla siebie samego rzeczywistość tej krainy z przed dwóch tysięcy lat, niejako z pominięciem jej współczesności.

Zaplanował więc, że, tak, znajdzie się w państwie Izrael, będzie miał do czynienia z żydowskimi urzędnikami i strażnikami, z poetami i profesorami, z recepcjonistami w hotelach, kelnerami w restauracjach, konduktorami w pociągach, kierowcami w autobusach, będzie brał udział w międzynarodowym festiwalu poezji i w ogóle będzie funkcjonował w rzeczywistości „dzisiaj”, ale będzie stale pamiętał, że to tylko zewnętrzna powłoka, skorupa talmudyzmu, ateizmu, współczesnej polityki i nowoczesnej cywilizacji. I cały czas będzie sięgał w głąb, przenosił się myślą, medytacją, wyobraźnią i ponawianymi aktami woli w materię życia tej krainy przed wiekami, „wczoraj”.

Założył więc sobie, że na czas pobytu na tamtej ziemi wyłączy się całkowicie z jej współczesności i w ogóle z bieżącego życia – na ile to tylko będzie możliwe. Nie będzie czytał gazet, nie będzie oglądał telewizji ani Internetu, nie będzie czytał otrzymywanych

e-maili, ani pisał do kogokolwiek. Tak przez dziesięć dni. Taki eksperyment – aby znaleźć się w życiu, które tam się toczyło dwa tysiące lat temu. Aby wyraźnie słyszeć słowa, które tam, wtedy brzmiały. Aby jasno widzieć ludzi, ich zachowania i działania.

Spróbuje wykasować, wytrzeć z pamięci i wyobraźni wszystkie brudy, plamy, paskudztwa współczesnej kultury, wyciszyć wszystkie jej szumy, hałasy, dźwięki, zawiesić wszelkie kontakty z ludźmi, po to by zobaczyć wyraźnie krajobrazy, miejsca i ludzi tamtego czasu – tak jak wychodząc wcześnie rano przed górskie schronisko widzi się z całą ostrością w czystym, chłodnym powietrzu rysującą się drogę na skalisty szczyt.

Szukając odpowiedzi na nurtujące go pytania, siądzie gdzieś w cieniu, w kącie jakiegoś kościoła, w podziemiu na przeciwko groty, czy też izdebki w Nazarecie i będzie słuchał dialogu anioła z młodą dziewczyną, a ta rozmowa zapisana potem przez natchnionego kronikarza, zacznie być powtarzana przez tych, którzy chcą towarzyszyć tym dwojgu, stanie się częścią modlitwy, która odmawiana była już pewnie miliardy razy na przestrzeni dwóch tysięcy lat. Będzie biegł nocą w grupie pastuchów do innej groty, czy też dziurawej obórki, stojącej gdzieś na pustynnym pastwisku pod Betlejem i będzie ich pytał dlaczego tam biegną. Będzie dołączał do spieszących z różnych stron nad to zakole Jordanu, gdzie charyzmatyczny pustelnik nakazywał ludziom zanurzać się w wodzie i wzywał ich do

badania swych sumień. Będzie wsłuchiwał się w jego słowa w nadziei, że usłyszy odpowiedzi na dręczące go pytania. Będzie siadał na trawie na łagodnym zboczu spływającym od wsi Kafarnaum ku rozległej tafli jeziora Genezaret, by słuchać nauk wędrownego kaznodziei, wyłuskując z jego słów ziarno do siewu w swojej duszy.

– Popatrz, popatrz – powiedział sam do siebie. – Już mówisz o duszy, choć nie wierzysz, że ją masz. To będzie jedna ze spraw, które trzeba będzie tam rozważyć. Bardzo prosto: Tylko ciało? Tylko materia? Czy jednak ciało i dusza? Duch?

A potem – wrócił w wyobraźni do swoich planów – będzie deptał piaszczyste i kamieniste dróżki i ścieżki, łapiąc z trudem oddech w skwarne popołudnie, wzniecając swymi stopami zatykający płuca kurz, starając się nadążyć za gromadą podążającą za tym kaznodzieją, który, gdy się zatrzyma przy jakiejś studni, wjedzie do jakiegoś domku, czy synagogi, to powie mu może słowo, zdradzi mu kod otwierający stronę Internetową z odpowiedzią na wciąż nurtujące go pytania – o sens życia, a zwłaszcza o sens śmierci. Ach, i będzie się wspinał na wzgórze Golgoty, ukrywając się przed rzymskimi patrolami, aby, z ukrycia za jakimś krzewem, czy załomem skalnym, patrzyć z przerażeniem na krwawą egzekucję trzech skazańców, starając się zrozumieć, co to straszne wydarzenie oznacza dla niego samego.

Cały czas – sam sobie to zdecydowanie zastrzegł – będzie obiektywnym, krytycznym, zdystansowanym obserwatorem i słuchaczem. Rezerwował więc sobie pełną swobodę wyciągania wniosków z tego, co będzie widział w wyobraźni i czego będzie słuchał, także w wyobraźni, przetwarzając słowa ze starych ksiąg w jakieś współczesne „audio".

(…)

Wszystko to sobie dokładnie zaplanował, gdy – po raz drugi – podjął decyzję podróży. Zdecydował odwiedzić po kolei Nazaret, Betlejem, zakole Jordanu, Kafarnaum i Jerozolimę. Na więcej punktów programu podróży, którą już teraz sam dla siebie nazywał pielgrzymką, nie starczyłoby pewnie czasu w kontekście obowiązków związanych z uczestnictwem w festiwalu poezji.

Gdy tak sobie to uporządkował, zabrał się do przeczytania na nowo – na nowo, bo kiedyś zrobił to przeszło pół wieku temu, mając lat niespełna dwadzieścia – czterech Ewangelii i na dodatek Dziejów Apostolskich. Przestudiował wydobyte z Internetu mapy tamtych okolic. W biurze podróży, znajoma agentka, dała mu pęk przewodników – czytał je uważnie, robiąc notatki na marginesach. Kupił u niej bilet, pomogła mu też zarezerwować hotel, który wedle zaproszenia, ofiarowywał uczestnikom festiwalu znaczną zniżkę. Ten hotel miał nazwę: „Hotel Heroda", co zwróciło jego uwagę, zastanowiło go i

zaskoczyło, ale skoro był rekomendowany i dawał zniżkę, to warto było z niego skorzystać. W Internecie wyszukał kilka reklamowych filmów pokazujące turystyczne i pielgrzymkowe atrakcje, kraju do którego miał jechać. Dokładnie poznał w ten sposób cały ten – w istocie tak niewielki – skrawek ziemi z jego krajobrazami, zabytkami, miejscami kultu. Naturalnie, na ile to było możliwe pośrednio – właśnie przy pomocy tych różnych informacji, opisów, fotografii, filmików.

I tak się tu znalazł.

Stojąc przed wojskowym urzędnikiem imigracyjnym był w tej chwili kimś innym niż tamten poeta i uczony, który wybierał się kiedyś na Festiwal „Poezja Mundum in Publico". Tego izraelski oficer nie mógł wiedzieć, bo ta przemiana dokonała sie, i dokonywała się nadal, gdzieś głęboko w jego wnętrzu.

Czekał spokojnie.

– Jak mnie wpuszczą – myślał – to zrealizuję mój plan. Jak nie – to będzie to wskazówka, że cały ten plan był błędny, niepotrzebny, chybiony.

Więc nawet się nie niecierpliwił. Czekanie przedłużało się. Stojący za nim żołnierze wymieniali głośniejsze uwagi.

– Chyba mnie biorą za terrorystę, albo jakiegoś zagorzałego antysemitę, albo też nie mogą ustalić mojej tożsamości, z tym moim pokręconym, poplątanym życiorysem kiedyś pupilka, potem krytyka reżimu komunistycznego; kiedyś gniewnego, rozwrzeszczanego młodego poety, a już po chwili starego laureata, doktora *honoris causa*, „autorytetu moralnego”. Niewątpliwie, dbając o swoje bezpieczeństwo, stale zagrożone i narażone na atak, strzegąc swego małego terytorium, smacznego kąska nęcącego głodnych świeżego mięsa sąsiadów, mają zasadę bardzo dokładnego sprawdzania, kto mianowicie przybywa do ich kraju, kim jest, skąd, po co, dlaczego i tak dalej. Oj, chyba nie zrealizuję mego tajnego planu pielgrzymki w kamuflażu uczestnika poetyckiego festiwalu. Chyba nie będzie mi dane rozsypywać pereł mojej poezji przed miejscowymi, pardon… Powstrzymam się od zbyt drastycznej metafory.

W tym momencie w otworze plastikowej osłony stanowiska kontrolera pojawił się jego paszport. Wystawała z niego jakaś kartka.

– Wiza jest na tej karcie. Następny! – powiedział głośno oficer po angielsku przestając się nim interesować.

K. wziął więc swój paszport i odwrócił się. Żołnierze, dotąd stojący za nim rozstąpili się. Ruszył w ich stronę, minął się z następnym wywołanym do okienka pasażerem. Rozczytując

liczne tabliczki i strzałki poszedł po swój bagaż. Jego walizka stała samotnie obok nieruchomej już karuzeli. Podał celniczce torbę podróżną. Pogrzebała w niej i oddała bez słowa. Nawet nie kazała mu otworzyć walizki, która musiała być już dokładnie prześwietlona, a także przeszukana, co miał odkryć otwierając ją w hotelu, gdy zobaczył w nieładzie kłąb swoich rzeczy, które przed wyjazdem spakował bardzo starannie.

Wyszedł na podjazd przez dworcem lotniczym w jasne, ostre, gorące, przedpołudniowe, wiosenne słońce.

*

Kazimierz Braun jest reżyserem, pisarzem i uczonym. Prowadził teatry i reżyserował w Polsce; reżyserował również w Stanach Zjednoczonych, Irlandii, Kanadzie, Niemczech i innych krajach. Opublikował ponad 50 książek (prac naukowych, powieści, dramatów, poezji) w kilku językach. Wykładał na uniwersytetach i prowadził warsztaty dla reżyserów w Polsce, USA, Irlandii, Wielkiej Brytanii.

Wokół drugiej żony Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego

POLONICA

Bogumiła Żongołłowicz *(Melbourne, Australia)*

*



Lucyna i Konstanty Ildefons Gałczyńscy, Höxter, 1945 r., fot. arch. Bogumiły Żongołłowicz, kopia

Pokochałem ciebie w noc błękitną,
w noc grającą, w noc bezkresną.
Jak od lamp, od serc było widno,
gdyś westchnęła, kiedym westchnął.

Pokochałem ciebie i boso,
i w koronie, i o świcie, i nocą.

Jeśli tedy kiedyś mi powiesz:
Po coś, miły, tak bardzo pokochał?
Powiem: spytaj się wiatru w dąbrowie,

> czemu nagle upadnie z wysoka
> i obleci całą dąbrowę,
> szuka, szuka: gdzie jagody głogowe?
>
> 1945
>
> *Konstanty Ildefons Gałczyński*

*

*

Ten temat, ta sprawa leży mi na sercu od ponad ćwierć wieku. Może dlatego, że dziś tak wiele słyszy się o Lwowie w kontekście napaści Rosji na Ukrainę, a moja bohaterka była rodowitą lwowianką – nadszedł czas, aby zrzucić z siebie niewygodny ciężar. Mowa tu o drugiej żonie poety Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, znanej pod trzema nazwiskami: Łucja/Lucyna Wolanowska – Lucyna Gałczyńska – Lucyna Pyka.

Ja będę o niej pisać jako o Lucynie Wolanowskiej, ponieważ pod tym właśnie nazwiskiem zaistniała w polskiej, i nie tylko, literaturze. A zaistniała jako, „dziewczyna z kacetu, ale nie z tych politycznych”; „obozowa miłość Poety”, jedna z kobiet, z którą ojciec [Kiry, przyp. autorki] „miał relację w czasie wojny”;

„kochanka”, z którą – „jak się potem okazało – miał dziecko”, „córka byłego generała armii austriackiej ze Lwowa”; „więźniarka Oświęcimia”. Fakt, że poznałam adresatkę tych mijających się z prawdą i często obraźliwych wypowiedzi różnych żurnalistów, którzy zapomnieli, że specyficzny charakter pracy dziennikarza domaga się elementarnej uczciwości w realizowaniu zawodowej misji, zmusza mnie do zabrania głosu. Żurnaliści czerpali z poprzedników, dokładając informacje wyssane z palca, zamiast dociekać prawdy. A przecież chodzi tu także o życiorys jednego z najwybitniejszych poetów polskich XX wieku.

Jedyny syn poety Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego zmarł 4 kwietnia 2020 roku w wieku 74 lat na północy Australii. Jego śmierć zaskoczyła wszystkich. Najbliżsi mówili o błędach medycznych. Z powodu epidemii Covid-19 i zakazu masowych udziałów w pogrzebach na Terytorium Północnym, w pożegnaniu Kostka w kaplicy Thorak w Darwin, które odbyło się dziesięć dni później, wzięła udział głównie najbliższa rodzina. Transmisję *on-line* obejrzało więcej osób. Ja na moim komputerze w Melbourne.

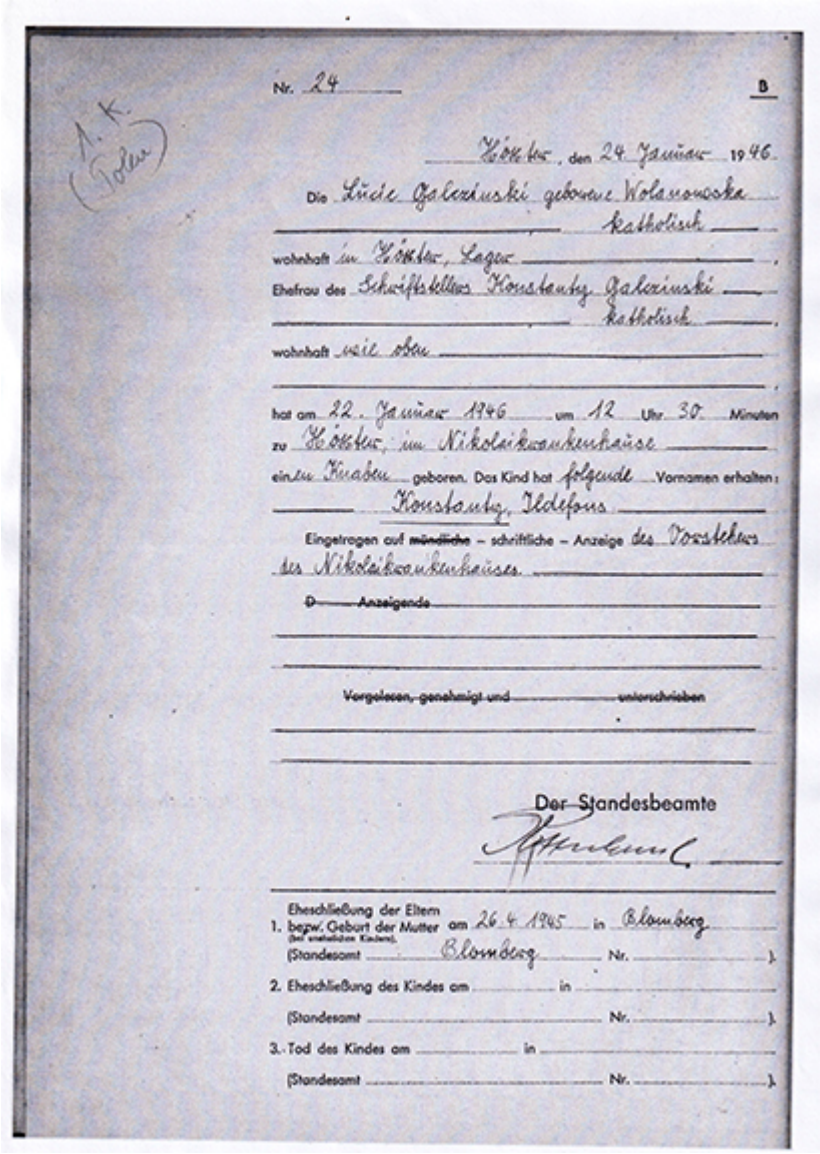
Jako pierwszy wystąpił Damian Parker – pierworodny syn zmarłego.

Konstanty (Kostek) Ildefons Gałczyński, nasz ojciec, Steve Parker , urodził się 22 stycznia 1946 roku w Höxter w

Niemczech, jako syn Lucyny Wolanowskiej i Konstantego seniora – powiedział. – *Jego matka została ledwie co wyzwolona z obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Żeby móc przeżyć w czasie wojny i tuż po jej zakończeniu wielu ludzi nie mówiło wszystkiego o sobie. Prawda nie była oczywista. Stąd nie ma pewności, że byli małżeństwem. Związek ten nie przetrwał.*

Jak to często bywa, najbliższymi, ich przeszłością, zaczynamy się interesować dopiero po ich śmierci. Krótko po pogrzebie Gabrielle (Gabi) Parker – najstarsza córka zmarłego – napisała do Urząd Stanu Cywilnego w Höxter. Odpowiedź na pytanie o akt małżeństwa jej dziadków ze strony ojca wysłała Doris Müller mejlem 23 kwietnia 2020 roku.

Droga Gabrielle Parker. Nie umiem dobrze pisać po angielsku. Więc powiem tylko, że data ślubu to 26.04.1945. Pobrali się w mieście Blomberg . Do mejla dołączony był skan dokumentu zawierający również informację, że Konstanty Ildefons junior przyszedł na świat 22.01.1946 roku w szpitalu St-Nikolai. O godzinie 12.30. Wyjątkowy prezent na czterdzieste pierwsze urodziny poety, które wypadały następnego dnia.



Nr. 24 B

Höxter, den 24 Januar 1946.

Die Lucie Galczinski geborene Wolanowska
katholisch
wohnhaft in Höxter, Lager
Ehefrau des Schriftstellers Konstanty Galczinski
katholisch
wohnhaft wie oben

hat am 22. Januar 1946 um 12 Uhr 30 Minuten
zu Höxter, im Nikolaikrankenhause
ein Kind Knaben geboren. Das Kind hat folgende Vornamen erhalten:
Konstanty Ildefons

Eingetragen auf ~~mündliche~~ – schriftliche – Anzeige des Vorstehers
des Nikolaikrankenhauses.
~~D~~ Anzeigende

~~Vorgelesen, genehmigt und unterschrieben~~

Der Standesbeamte

Eheschließung der Eltern
1. bezw. Geburt der Mutter am 26.4.1945 in Blomberg
(bei unehelichen Kindern)
(Standesamt Blomberg Nr.).
2. Eheschließung des Kindes am in
(Standesamt Nr.).
3. Tod des Kindes am in
(Standesamt Nr.).

Kopia dokumantu z Urzędu Stanu Cywilnego w Höxter, zaświadczającego o narodzinach Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, syna Lucyny i Konstantego Ildefonsa Gałczyńskich w dniu 22.01.1946 r., gdzie podane są również miejsce i data zawarcia przez nich małżeństwa: 26.04.1945 r., Blomberg, fot. arch. Bogumiły Żongołłowicz

Pani ze Lwowa?! – poznał po akcencie krępy mężczyzna w średnim wieku, który bandażował Lucynie Wolanowskiej poranione stopy. – *Jak raz na mnie spojrzał, to już oczu nie oderwał* – wspominała po latach pierwsze spotkanie z poetą moja

rozmówczyni . Gdy zobaczył, że ma organki, poprosił, aby coś zagrała. – *Jak pani gra, zdaje mi się, że dwanaście aniołów jest przy mnie* – powiedział wzruszonym głosem. Kiedy następnego dnia przyszedł rozkaz, że małżeństwa mają wyjeżdżać razem, a samotni osobno, poprosił ją o rękę. Ślubu udzielił im ksiądz Jan Planeta w szopie, po której hulał wiatr. Takich par jak oni było więcej.

Lucyna stanęła na „ślubnym kobiercu" w sukni ze spadochronu i w butach, które kosztowały paczkę papierosów. Konstanty wystąpił w przechodzonym mundurze. Wiedziała, że pisze wiersze, ale nie to jej imponowało. Wychodziła za mąż za przystojnego i ciekawego mężczyznę. O tym, że w Polsce ma już żonę, dowiedziała się, gdy była w czwartym miesiącu ciąży. – *Ksiądz dał ślub, to co ja miałam… abdykować?…* – zapytała, nie oczekując odpowiedzi.

Do narodzin dziecka mieszkali w kasynie oficerskim w obozie przejściowym w miasteczku Höxter. Willę z niemiecką obsługą zajmowało dziesięciu polskich oficerów. Oni byli jedynym małżeństwem. Lucyna pracowała w centrali telefonicznej UNRRA. Konstanty jako tłumacz często był nieobecny. Mimo tego, znajdowali czas dla gości, niekiedy tak wyjątkowych jak księżna Maria Ogińska i hrabianka Janina Potocka, która podarowała Konstantemu skrzypce. Urządzali u siebie „koncerty" na dwa instrumenty.

Poety nie było przy narodzinach syna, choć zapewniał, że wróci na czas z jednej ze swoich licznych podróży. Dwudziestego szóstego grudnia 1945 roku pisał z Paryża:

Kochany Ptaszku,

zrobiłbym krzywdę sobie i Tobie, gdybym ruszył się z powrotem, który jednak wyznaczyłem sobie na koniec stycznia; mówię krzywdę, bo to, co zyskuję tutaj przyda się bardzo Tobie i mnie i naszemu Kochanemu Bajbuskowi. Więc (…) ufaj mi, a ja Ciebie, mój Ptaszku, nie opuszczę. Myślę, że dostałaś ode mnie parę słów z Münster, które wysłałem przez kolegę tenora Guilsona. Dałem wtedy pierwszy dowód, że mimo wielu cudownych rzeczy, które oglądam, nie zapomniałem o Tobie, żeś mi bliska i kochana. Wiedz, że prawie zawsze, ile razy idę spać, całuję te perłowe guziczki, które przyszyłaś do piżamy. Tak w tych guziczkach widzę ciągle koło mnie Twoją serdeczną troskę. I tu z daleka rozumiem, jak byłaś i jesteś mi potrzebna, ile dobrego wniosłaś mi w życie, troskliwego, żoninego.

Chcę, żeby ten list do Ciebie jak najprędzej dotarł, żeby Ci powiedział wszystko, bo wiem, że niestety [martwisz się] niepotrzebnie. Ale taka już jesteś i taką Cię pokochałem. Mam nadzieję, że Kazio nie zanadto podwala się do Ciebie, a pułkownik, do którego jutro napiszę, opiekuje się Tobą. Jeśli znajdę jakąś okazję to postaram się ten list wysłać jakąś szybszą

drogą.

Niech Ci wszystkie moje najczystsze myśli pomagają w urodzeniu Bajbuska. Będę przy Tobie przed jego urodzeniem. Módl się za mnie, a ja się modlę za Ciebie.

Twój Kot[5].

Ptaszek to Lucyna, Kot – Konstanty Ildefons Gałczyński, a Bajbusek – oczekiwane dziecko.

Wróćmy do Lucyny Wolanowskiej. Do bzdur na jej temat. W bardzo niewybredny sposób, nie biorąc pod uwagę, że krzywdzi nieznaną mu kobietę (za jej życia), wypowiedział się na łamach londyńskich „Wiadomości" Wojciech Wasiutyński[6]:

Konstanty Ildefons Gałczyński znalazł odpowiednie miejsce na polskim Parnasie. (…) Zasługuje więc na to, by wszystko, co o nim wiadomo opublikować. I póki czas, opublikować prawdziwie bez brązu i „odtwarzania". Ponieważ tak się składa, że pewnych wspomnień o Gałczyńskim nikt poza mną nie ma, wydaje mi się konieczne ich spisanie bez upiększeń i udziwnień.

(…) Z chwilą klęski Niemiec (…) ruszył na wędrówkę i oparł się w obozie w Hesji. Gdy doszła mnie wiadomość, gdzie jest (…) postanowiłem przywieźć go do ośrodka prasowego Pierwszej

Dywizji Pancernej w Quackenbrück. Sytuacja Gałczyńskiego w obozie okazała się skomplikowana. Po przybyciu tam zamieszkał z jakąś dziewczyną z kacetu, ale nie z politycznych. Jak mówili inni mieszkańcy obozu „wsiadła na niego". Niedługo potem powiła dziecko i wmówiła w poetę, że to jego. Gałczyński uznał chłopca i zapisano go „Ildefons Gałczyński" (podkr. autorki). (…) Zwróciłem Konstantemu uwagę, że ma prawdziwą żonę i prawdziwe dziecko, które są gdzieś w Polsce i że z tą fantazją czas skończyć. Dał się zabrać jeepem na północ[7].

W 2000 roku ukazał się „Zielony Konstanty, czyli opowieść o życiu i poezji Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego". Kira Gałczyńska wyjaśnia we wstępie powody kolejnego wydania biografii swojego ojca:

Moim zadaniem było z jednej strony wyjście naprzeciw dużemu wciąż zainteresowaniu osobą i twórczością autora „Niobe", z drugiej – możliwie precyzyjne poprawienie bardzo licznych przeinaczeń, kłamstw, niedomówień, dowolności interpretacyjnych, błędów i podobnych manipulacji, hojnie rozsianych w wielu omówieniach i pracach krytycznych poświęconych K.I.G. Nie mam zamiaru ingerować w legendę poety (…). Prostowałam jedynie te przeinaczenia faktów i zdarzeń, które w rzetelnej biografistyce nie mogą mieć miejsca, a które na ogół wypływają z niewiedzy, niedoinformowania, z lekceważenia wreszcie potrzeby częstego sięgania do źródeł, do

dostępnych zasobów archiwalnych[8].

Autorka, mimo tych zapewnień, pomija w książce drugie małżeństwo ojca. *Koresponduję do dziś z panią Wolanowską-Pyką* – można przeczytać na 215 stronie. – *Jej listy są smutne, pełne młodzieńczych wspomnień o Lwowie, który nadal uważa za najpiękniejsze miasto świata…* W „Zielonym Konstantym”z 2011 roku zmienia czas teraźniejszy na przeszły: *Przez lata korespondowałam…* I tyle. Żadnych pytań o ślub. A zapewne to najbardziej ją interesowało. Wolanowska była osobą rozmowną. Jeśli miała coś do ukrycia, to datę swoich urodzin (do Australii przyjechała odmłodzona o dwa lata). O pożyciu z „zielonym Konstantym” opowiadała bez żenady.



Lucyna Gałczyńska z synem Kostkiem, koniec lat 40. XX w., fot. arch. Bogumiły Żongołłowicz

Nie była więziona w Oświęcimiu, jak podaje Kira Gałczyńska i prawie wszyscy biografowie poety. Nie była „pędzona przez hitlerowców na zachód” i nie była „córką generała”. Pierwsze Kira powtórzyła prawdopodobnie za przyrodnim bratem (bo mnie mówił to samo), drugie nie wiadomo skąd wzięła, a trzecie podała za Feliksem Fikusem, oficerem łącznikowym przy komendzie obozu.

To Fikusowi dała Lucyna list i zdjęcia z prośbą o przekazanie – wciąż jeszcze jej mężowi. Na zdjęciach był synek poety i ona sama. „Przyjaciel” nie spełnił prośby. W Krakowie zobaczył Natalię i Kirę u boku Konstantego. Nie chciał burzyć rodzinnego szczęścia. W 1973 roku przekazał list ze zdjęciami do Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie na ręce dyrektora Janusza Odrowąża-Pieniążka, zastrzegając, że nie mogą być nikomu udostępniane.

Odrowąż-Pieniążek przekazał reprodukcje przechowywanych zdjęć i kopię listu Fikusa po 25 latach – do ewentualnego wykorzystania – redakcji tygodnika „Przekrój”. Zdarzyło się to, kiedy w Polsce przebywał po raz trzeci Gałczyński junior. Przyjechał z Australii z żoną Lyn i córką Kirą Jean. Z przyrodnią siostrą – jako „przewodniczką” – zwiedzał Kraków dorożką.

W liście Feliksa Fikusa czytam:

Łączna liczba Polaków, którymi się opiekowałem, wynosiła około 5 tysięcy osób. Wśród nich odnalazłem w połowie 1945 roku K. I. Gałczyńskiego i jego przyjaciółkę Lucynę… (nazwiska nie pamiętam), córkę byłego generała armii austriackiej ze Lwowa, byłą więźniarkę z obozu w Ravensbrück. Dla obojga wystarałem się o oddzielny pokój niedaleko koszar, co było tym bardziej konieczne, kiedy dowiedziałem się, że „Lucyna jest w ciąży”. Pomagałem Gałczyńskiemu i jego przyjaciółce w jakim takim

urządzeniu się i w zaopatrzeniu ich w odzież itd.

W „Zielonym Konstantym” wymieniony jest „generał armii austriackiej”, ale nie ma go w wypowiedzi Fikusa na 210 stronie. Jest w zupełnie innym fragmencie książki. Zadziwia brak dociekań autorki na ten temat, dla mnie bardzo istotny.

Niezrozumiała i niewybaczalna jest też postawa tego trochę „dziennikarza, trochę pisarza”, jak go określa Kira, który nie może wykrztusić z siebie, że Lucyna, gdy ją poznał, nosiła już nazwisko Gałczyńska. Był przyjacielem obojga, obecnym na chrzcinach ich syna, o czym świadczy wpis do zachowanego, a założonego właśnie z tej okazji sztambucha: *Bądź, synu, jednak… poetą! (…). Höxter, 31 III 46*.

Z tego sztabucha pochodzą też wierszowane życzenia ojca chrzestnego Kostka – podpułkownika Stanisława Czernego – które warto przytoczyć:

> Młody Konstantynie!
>
> Urodziłeś się w godzinie
>
> Gdy ojciec Twój po świecie hasał,

Nie martwił się i popasał,

I gdy wyzwolenia nadeszła pora

On może gdzieś w rozgwarze, z wieczora

Śnił sen o następcy tronu

I opiewał go słów koroną…

Lecz to nie było to właściwe,

To sprawiły losy mściwe –

To była wielka tragedia serca

Że ten właściwy stał się przeniewiercą

Synu wielkiego Człowieka…

Ciebie jasna przyszłość czeka,

Tylko bierz z ojca to co jest wzniosłe,

Byś był do Czynów dorosły. –

Drugiemu chrześniakowi na pamiątkę

(podpis nieczytelny)

Höxter, 31 III 46.

I życzenia matki chrzestnej Marii Burskiej.

Drogi Synku!

Bądź – utalentowany, jak Ojciec,

realistą jak Matka,

wielki duchem i sercem jak Ojciec chrzestny –

i miej tyle szczęścia w życiu

ile Ci życzy matka Chrzestna –

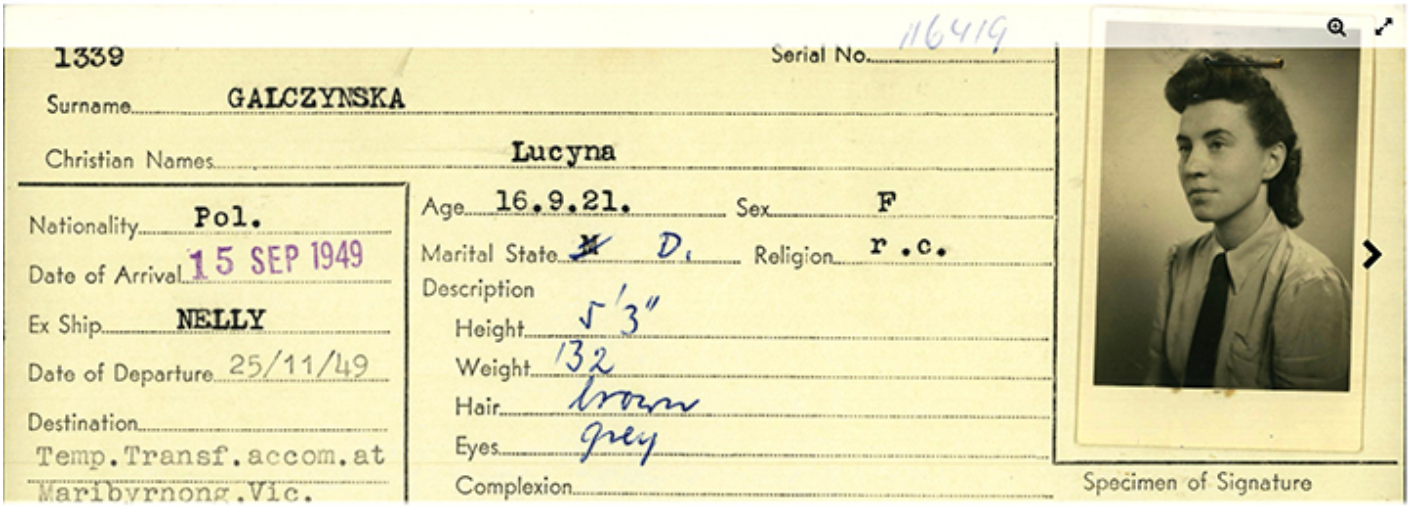
a będziesz najszczęśliwszym z ludzi.

Höxter, 31.3. 46 r.

Książeczka-pamiętnik z chrzcin Kostka, w którym są i późniejsze wpisy z ciepłymi życzeniami dla chłopca wychowywanego tylko przez matkę – to dla Anny Arno, autorki książki „Poeta niepokorny”, *poetycki tomik jego ojca zilustrowany przez obozowych przyjaciół*. To nie jedyny błąd, jaki popełnia autorka w odniesieniu do Lucyny Wolanowskiej[12].

W 2012 roku ukazały się nieautoryzowane rozmowy Mirosława A. Supruniuka z Jerzym Giedroyciem pt. „Uporządkować wspomnienia”, gdzie biednej Wolanowskiej [tu żonie poety] znów się dostaje.

– Gałczyński – to było pod koniec wojny, kiedy znalazł się we Francji – właściwie zdecydował się na pozostanie na emigracji. Ale znalazł sobie jakąś panią [chodzi o Lucynę Wolanowską, przyp. M.A. Supruniuka]*, z którą się nawet ożenił i razem pojechali do Polski. Mówił, że musi załatwić jakieś sprawy, zobaczyć córkę i wraca. Istniało jeszcze wojsko i Gałczyński wspomniał, że ewentualnie przejdzie do 2. Korpusu albo do generała Maczka w Holandii, gdzie też miał wielkich entuzjastów. (…) Ale w Polsce była Natalia, która przyjęła ich, wyrywając jego nowej żonie włosy. Była straszliwa awantura i ona w popłochu uciekła. Gałczyński piekielnie bał się Natalii*.



1339 Serial No. 116419

Surname GALCZYNSKA

Christian Names Lucyna

Nationality Pol. Age 16.9.21. Sex F

Date of Arrival 15 SEP 1949 Marital State M D. Religion r.c.

Ex Ship NELLY Description

Date of Departure 25/11/49 Height 5'3"

Destination Weight 132

Temp. Transf. accom. at Maribyrnong, Vic. Hair brown

Eyes grey

Complexion

Specimen of Signature

NAA: A2571, GALCZYNSKA LUCYNA Page 1 of 2

National Archives of Australia. A 11958, 1339–1340

W 2014 roku Kira Gałczyńska – w wywiadzie udzielonym Violetcie Ozminkowski – powiedziała o swoim przyrodnim bracie, że to syn *jednej z kobiet, z którą ojciec miał relację* (podkr. autorki) *w czasie wojny* .

Nieprawdziwe informacje zawiera strona internetowa:

https://military-history.fandom.com/wiki/Ravensbrück_concentration_camp.

W 1945 roku, tuż przed wyzwoleniem, poecie (...) udało się uratować jedną z więźniarek Ravensbrück od pewnej śmierci (sic!). Nazywała się Lucyna Wolanowska. Zaczęli mieszkać razem, a w styczniu 1946 roku urodził się ich syn, również Konstanty Ildefons Gałczyński. W tym samym roku Lucyna Wolanowska wyemigrowała z synem do Australii (sic!). Itd., itd.

Można by mnożyć przykłady pomysłowości „ludzi pióra” odnośnie życiorysu drugiej żony autora „Końca świata”.

Kinga Młynarska, redaktorka działu poezji internetowego magazynu kulturalno-literackiego „Szuflada”, napisała: *Pod koniec wojny uratował z transportu więźniarek* ***Lucynę Wolanowską,*** *która w styczniu 1946 r. urodziła mu syna, Konstantego Ildefonsa (zmienił potem dane na Steve Parker)* . Małgorzata I. Niemczyńska, recenzując biografię „bodaj największego awanturnika polskiej literatury XX wieku” pióra Anny Arno, pozwoliła sobie na więcej: *W czasie wojennej rozłąki miał kilka kochanek naraz, jedną z nich przywiózł nawet do domu (żona ją przegoniła). Z inną – jak się potem okazało – miał dziecko* .

Głupoty znajdujemy w tekście Grażyny Kuźniak, która w artykule o zgrabnym tytule „Czarodziej Ildefons” w pierwszj kolejności przypomina, że *radni Krakowa nie zgodzili się na nadanie jego imienia szkole, bo – jak stwierdzili –* ***Gałczyński „był pijakiem, kobieciarzem i miał nieślubne dziecko”*** *(sic!)* , gdy tymczasem Sejm uroczyście uchwalił, że rok 2003 będzie poświęcony pamięci poety. Dalej pisze: *Kiedy (…) w czasie wojny trafił do obozu jenieckiego w Niemczech, przeżył drugą miłość. Lucyna Wolanowska była więźniarką Oświęcimia (sic!). Gałczyński przyjechał z nią do Polski w 1946 roku (sic!) podobno tylko po to, żeby zakończyć tutaj wszystkie swoje sprawy. Ale*

gdy zobaczył Natalię, w jednej chwili tamto uczucie przestało się liczyć. Natalia utrzymywała romans (sic!) męża w najgłębszej tajemnicy. Autor „Niobe” wrócił do Polski 22 marca 1946 roku.

Lucyna Wolanowska, urodziła się 16 września 1919 roku (według dokumentów niemieckich) lub 16 września 1921 roku (według dokumentów australijskich). Do oryginalnej metryki urodzenia w języku polskim nie udało mi się dotrzeć. Jej matka pochodziła z Brzeżan. Ojciec? O nim będzie później. Podobno podczas II wojny światowej zginęła cała rodzina Lucyny zamieszkała we Lwowie. Osamotniona zgłosiła się do pracy w Niemczech, gdzie przebywała w latach 1942–1949. Od lipca 1942 roku do października 1943 roku zatrudniona była w fabryce w Wolfen założonej przez AGFA (Aktien-Gesellschaft für Anilin-Fabrikation). Za kradzież kliszy do aparatu fotograficznego na prośbę pary Rosjan, którzy później nielegalnie fotografowali zakład, a w którym miała nadzór nad kilkoma pracownikami, trafiła jako więzień polityczny do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück (numer obozowy 53663). W październiku 1944 roku przeniesiono ją do pracy fizycznej w obozie w Dortmundzie. Siedemnastego marca 1945 roku została wypuszczona wraz z innymi kobietami na wolność. Drogę donikąd pokonywała boso.

Długo czekała na wyjazd do Australii, która nie przyjmowała samotnych kobiet z dziećmi poniżej piątego roku życia. W 1948

roku znalazła sponsora. Był nim Jugosłowianin, pianista Sava Spasojević, którego poznała w Paderborn. W papierach na wyjazd odnotowano, że to *fiancé*, a jednocześnie, że *husband in Poland*. Andrzej Chciuk w artykule zatytułowanym „Gałczyński przyrządzony" napisał, że *być może jednym z głównych, a może najgłówniejszym z powodów, który skłonił poetę do powrotu, była… zwykła bojaźń przed konsekwencjami popełnionej przez niego… bigamii*.

Pół roku przebywała z synem w obozie dla przesiedleńców we Włoszech, zanim 13 sierpnia 1949 roku wsiedli w Neapolu na statek „Nelly". Dziewiątego września 1949 roku przypłynęli do Australii. Z Port Melbourne przewieziono ich do obozu dla emigrantów w Bonegilli, a stamtąd do hostelu w Marybirong. Spasojević był już w tym czasie żonaty.

W 1951 roku małżeństwo Lucyny i Konstantego Ildefonsa Gałczyńskich zostało unieważnione przez Supreme Court of Victoria. Sprawa – koszty procesu wyniosły 220 funtów australijskich – trafiła na sądową wokandę z powództwa Lucyny, którą reprezentował mecenas Jana Okno. Wyrok wydał sędzia John Vincent Barry. Okno był sekretarzem i tłumaczem Thomasa M. Burke'a, konsula honorowego w stanie Wiktoria z siedzibą w Melbourne. Burke – australijski biznesmen i filantrop – po cofnięciu z dniem 1 stycznia 1946 roku uznania rządu RP w Londynie przez władze australijskie, pełnił nadal nieoficjalnie

funkcję konsula i pomagał Polakom. Niedługo potem była pani Gałczyńska poślubiła Stanisława Pykę , starszego brata późniejszego peerelowskiego polityka Tadeusza Pyki . Stanisław, wywieziony podczas wojny na roboty do Niemiec, po wojnie studiował medycynę na uniwersytecie w Bonn. Nie chciał wracać do Polski, w której władzę przejęli komuniści. Żyli szczęśliwie aż do jego śmierci w wieku 71 lat w 1990 roku. Dochowali się córki Ewy (obecnie Eve Ogden). Lucyna Wolanowska, a właściwie Pyka, pod koniec życia przebywała w Innisfree Residential Aged Care Facility w Kyneton. Zmarła 5 marca 2005 roku.



Konstanty Ildefons Gałczyński jr (Kostek) z wizytą w domu autorki z książką o swoim ojcu, nieświadomy jej treści, Rowville, Melbourne, Australia, 24 lutego 2014 r., fot. Bogumiła

Żongołłowicz



Konstanty Ildefons Gałczyński jr i Bogumiła Żongołłowicz w jej domu w Melbourne w Australii, 24 lutego 2014 r., fot. arch. Bogumiły Żongołłowicz

Jako syn wielkiego poety Kostek zaistniał w Polsce w 1990 roku, gdy zapukał do drzwi leśniczówki Pranie na Mazurach i oświadczył Kirze, że jest jej bratem. Zawiózł go tam Sławomir Krajewski, którego ojciec poznał Kostka w pociągu na trasie Berlin – Warszawa i zaprosił do siebie w gościnę. Krajewski na własne oczy widział emocje towarzyszące temu spotkaniu.

Junior Gałczyński nie lubił nazwiska ojca. GAŁCZYŃSKI. GALCZINSKY. Australijczycy mieli kłopot z jego pisownią i wymową. W 1963 roku zmienił je na Pyka, a w 1972 roku na

Parker . Natomiast w paszporcie polskim (seria PY NR 084963) wydanym przez Konsulat Generalny w Sydney 6 grudnia 1991 roku figuruje jako Gałczyński Konstanty Ildefons. Wnuki autora „Zaczarowanej dorożki" – a jest ich pięcioro – to dzisiaj Parkerowie. Choć nie wszyscy. Polski czytelnik, miłośnik poezji mistrza Gałczyńskiego, a przede wszystkim córka i biografka poety, wiedzą o dwóch wnuczkach i jednej żonie . Tak mi się przynajmniej wydaje, bo nie sądzę, aby wywiad – z Seliną Parker, która uczyła się w Letniej Szkole Języka i Kultury Polskiej UMSC w Lublinie, znany był szerszemu odbiorcy. Selina jest wnuczką I.G.K. juniora i Mary Therese Barber, którą poślubił za zgodą matki w 1965 roku. Miał 19 lat. Dzieci z tego związku to Damien Steven Parker, Glenn James Parker i Gabrielle Mary Parker – matka Seliny. Lyn Margaret Whibeard wyszła za mąż za Kostka, gdy był już po czterdziestce.

To z Lyn odwiedzał Polskę. Z Lyn i z ich z pierworodną córką… Kirą Jean Galczynska. Młodsza, Sarah Jayne Galczynska, przyszła na świat pięć lat później.

Przez kilkanaście lat Steven Parker, czyli Konstanty Ildefon Gałczyński zajmował się resocjalizacją społeczną. Wcześniej i później imał się różnych zawodów. Był hodowcą bydła, stolarzem, strażakiem, muzykiem i właścicielem jachtu motorowego, którym woził turystów odwiedzających Terytorium Północne.



Grób Alojzego Horaka na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, fot. Bogumiła Żongołłowicz

Druga sprawa, która w związku z Lucyną Wolanowską nie daje mi spokoju, to potwierdzenie ojcostwa. Jak mi powiedziała, jej rodzicami byli Maria i Alojzy Horakowie. Alojzy Horak – to pułkownik WP. Na dostępnych fotografiach znaczne podobieństwo rzuca się w oczy.

Urodzony w 1891 roku w Krakowie, zapisał chlubną kartę w historii Polski, a miłość do ojczyzny przepłacił życiem. Był absolwentem Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Lwowskiego. Od roku 1909 do 1914 brał czynny udział w polskich organizacjach wojskowych i niepodległościowych. Współorganizował skauting we Lwowie. Od sierpnia 1914 służył w armii austriackiej na froncie, gdzie dnia 2 maja 1915 roku został ciężko ranny. Po wyleczeniu – w Polskiej Organizacji

Wojskowej. Od listopada 1918 roku w Wojsku Polskim, między innymi we Lwowie. *Oficer o wysokich wartościach moralnych* – czytam w opinii opinii generała Kazimierza Fabrycego. – *Pracę pojmuje w sposób wielce ideowy – jest nadzwyczaj sumienny, pracowity, przy tym bardzo zdolny i inteligentny. Zagadnienia organizacyjne armii ujmuje bardzo trafnie i w tym kierunku wykazuje specjalne uzdolnienia oraz zamiłowanie. Na swoich podwładnych posiada wpływ bardzo dodatni. Wybitny Szef Biura Ogólno-Organizacyjnego .*

W innym miejscu tego samego dokumentu natrafiłam na informacje, że w 1919 był stanu wolnego, w jeszcze innym, że był *separowany, wyznanie żony rzymsko-katolickie, narodowość polska, miejsce stałego zamieszkania żony przed wstąpieniem w związek małżeński – Wiedeń*.

W książce Jana Rzepeckiego „Wspomnienia i przyczynki historyczne”, która zawiera szkic o Alojzym Horaku, znajduje się jedna wzmianka (s. 269) dotycząca jego życia osobistego: *Był ożeniony z osobą pochodzenia żydowskiego, z którą musiał się rozwieść*.

W „Lwowskich Wiadomościach Parafialnych”, tygodniku poświęconym życiu religijnemu Lwowa (1937/12) opublikowano zapowiedź przedślubną w Kościele św. Wincentego à Paulo: *Horak Alojzy, Kraków i Trzaskowska Jadwiga, Snopkowska 95a*.

Zbieżność nazwisk? Czyżby Lucyna Wolanowska (a może Horak?) była nieślubnym dzieckiem?

Opowiadała mi, że będąc jeszcze dziewczynką „zakochała się" w generale Walerianie Czumie, który bywał u ojca i chętnie wyszłaby za niego – pomimo dużej różnicy wieku – gdyby poprosił ją o rękę. Wiek nie miał znaczenia także w jej związku z Konstantym. Mówiła również, że zmieniła nazwisko przed wyjazdem do Niemiec. Ojciec był w ciągłym niebezpieczeństwie. Był pierwszym komendantem Okręgu Warszawa – województwo Związku Walki Zbrojnej ZWZ, AK, głównym Inspektorem Batalionów Chłopskich, szefem wyszkolenia Formacji Bojowo-Milicyjnych Polskich Socjalistów. Bał się, że jak Niemcy go złapią, to trafią i do niej. Załatwił córce nowe papiery.

Złe przeczucie sprawdziło się. Alojzego Horaka aresztowano 10 (11?) listopada 1942 roku w mieszkaniu Zofii Prauss przy ulicy Żurawiej 24 w Warszawie *pod jego nazwiskiem paszportowym Justyn Małecki, ale gestapo zdołało ustalić jego tożsamość i po 3 miesiącach straszliwych badań w Alei Szucha został rozstrzelany 12 lutego 1943 r. w zbiorowej egzekucji pod Stefanowem w lasach Nadleśnictwa Hojny koło Piaseczna* . Rząd Polski w Londynie został powiadomiony depeszą. Po wojnie ekshumowano szczątki. Płk Horak spoczywa na wojskowych Powązkach w Warszawie, skąd do grobu Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego zaledwie kilkaset metrów .



Lucyna Pyka (Gałczyńska) w swoim domu w Sunbury, czerwiec 1996 r., fot. Bogumiła Żongołłowicz

Łucja/Lucyna Wolanowska – Lucyna Gałczyńska – Lucyna Pyka nie odpowie mi na nurtujące pytania, choć podobno nie na wszystkie pytania trzeba znać odpowiedzi. Nie może też się bronić. Nie żyje. Walkę o jej dobre imię uznałam za swój moralny obowiązek. Niech ten artykuł będzie tego dowodem. Niech to będzie rodzaj płyty nagrobnej, której nie ma . Spoczywa bezimiennie obok swojego męża Stanisława Pyki w Altona Memorial Park, ale o tym wiedzą tylko jej najbliżsi i ja.

Ps. We wszystkich relacjach i komentarzach dotyczących Lucyny – występuje ona jako Lucyna Wolanowska. Gwoli prawdy trzeba mocno zaakcentować, że od 26.04.1945 roku – to jest od daty ślubu z Konstantym Ildefonsem Gałczyńskim – nosiła już nazwisko Gałczyńska i jako taka przybyła do Australii w 1949 roku.

Artykuł ukazał się w „Pamiętniku Literackim", Tom LXIII, czerwiec 2022, wyd. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn.

*

Spotkania z Bogumiłą Żongołłowicz w Słupsku i w Londynie.

SŁUPSKIE CZWARTKI LITERACKIE

SPOTKANIE 31

Bogumiła Żongołłowicz

z książką

pt. „Andrzej Chciuk. Pisarz z antypodów"

22 września 2022 r. (czwartek) godz. 16:30
Zamek Książąt Pomorskich w Słupsku
Sala Rycerska

moderator: dr hab. Krystyna Krawiec-Złotkowska, prof. AP
koncert: Piotr Pendzich

wstęp wolny

Organizatorzy:

Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku
Katedra Filologii Polskiej w Instytucie Filologii Akademii Pomorskiej w Słupsku
Fundacja PRODIRE
Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Gdańsk
Herbaciarnia w Spichlerzu Richtera



---

*

*

Zobacz też:

> Powrót z niepamięci

> Srebrna Natalia

Przypisy:

[1] Pełne nazwisko według aktu zgonu wystawionego przez Births, Deaths & Marriages – Darwin 7 maja 2020 r. brzmi: Steven Daniel Parker.

[2] Kopia w posiadaniu autorki.

[3] Wywiadu udzieliła mi w swoim domu w Sanbury (Wiktoria, Australia) 1 czerwca 1996 r. Wywiad ten zatytułowany *Byłam prawowitą żoną autora „Zaczarowanej dorożki”* ukazał się w „Przeglądzie Polskim”. Tygodniowym dodatku literacko-społecznym „Nowego Dziennika” (Nowy Jork) 20 stycznia 2006, s. 5.

[4] Ksiądz Jan Planeta (1909–1968) ur. w Radwanie k. Tarnowa, był więźniem obozów koncentracyjnych. Wyzwolony w Dachau, przez kilka lat pracował z Polakami przebywającymi w Niemczech, służąc im duchowym wsparciem. W 1950 r. wyemigrował do Kanady. *Zob*.

. W wywiadzie *Byłam…* mylnie podałam, że był to najprawdopodobniej ksiądz Ziółkowski. Inny błąd, któr zakradł się do tego wywiadu to, to że Lucyna Wolanowska dotarła z Dortmundu do obozu w Altengrabow.

[5] Kopia listu otrzymana od Lucyny Pyki.

[6] Wojciech Wasiutyński (1910–1994), prawnik, publicysta, działacz katolicko-narodowy.

[7] W. Wasiutyńki, *Wspomnienie o Gałczyńskim*, „Wiadomości” (Londyn) 1975, nr 7, s. 1.

[8] K. Gałczyńska, *Zielony Konstanty, czyli opowieść o życiu i poezji Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego*, Warszawa 2000, s. 6–7.

[9] K. Targosz, *Zaczarowany scenariusz. Dzieje grzechu poety*, „Przekrój” 1989, nr 27, s. 11.

[10] Stanisław Czerny (1889–1963), podpułkownik, intendent WP.

[11] Anna Arno w książce *Niebezpieczny poeta*, Kraków 2013, s. 221.

[12] Na s. 206 pisze, że Lucyna Wolanowska przeżyła obóz w Auschwitz.

[13] M.A. Supruniuk, *Uporządkować wspomnienia. Nieautoryzowane rozmowy z Jerzym Giedroyciem*, Toruń 2012, s. 153.

[14] https://weekend.gazeta.pl/weekend/1,152121,17069451,kira-galczynska-ojciec-byl-takim-chlopcem-do-bicia-za-czasow.html

[15] K. Młynarska, *Konstanty Ildefons Gałczyński 2/2;* http://szuflada.net/konstanty-ildefons-galczynski-22/

[16] M. I. Niemczyńska, *Nowa biografia Gałczyńskiego. Poeta głównie uroczy* [RECENZJA]/ 17 grudnia 2013, https://wyborcza.pl/7,75410,15147557,nowa-biografia-galczynskiego-poeta-glownie-uroczy-recenzja.html

[17] https://katowice.naszemiasto.pl/czarodziej-ildefons/ar/c13-5700435

[18] Tamże.

[19] Arolsen Archives. International Center on Nazi Persecution.

[20] National Archives of Australia. A 11958, 1339–1340.

[21] Według Ewy (Eve) Pyki (późniejszej Eve Ogden) matka miała pięcioro rodzeństwa: dwie siostry (Zofię i Wiktorię) oraz trzech braci (Karola, Franka i Edwarda). Jedną z sióstr wraz z mężem i dziećmi wywieziona zostałana Sybir i ślad po nich zaginął. Jeden z braci jako kilkunastolatek zginął od wybuchu granatu.

[22] A. Chciuk, *Gałczyński przyrządzony*, „Wiadomości" (Londyn) 1959, nr 34, s. 4.

[23] Anna Arno we wspomnianej książce błędnie podaje 1948 rok.

[24] *Migrants marry*, „National Advocate" (Bathurst)), 27 sierpnia 1949, s. 2.

[25] W akcie małżeństwa zawartego 4 kwietnia 1952 r. w Melbourne figuruje Lucyna Wolanowska (*spinster* – stara panna), córka Marii (z d. Hoeptyng) i Władysława Wolanowskiego, inżyniera, zmarłego. Pusta rubryka dotycząca dzieci została wykreskowana.

[26] Tadeusz Hiacynt Pyka (1930–2009), działacz komunistyczny, ekonomista, Wiceprezes Rady Ministrów, poseł na Sejm PRL VI, VII i VIII kadencji.

[27] Na fb, na stronie Leśniczówka Pranie, natrafiłam na wpis pod informacją o śmierci Kostka. „Dopiero się teraz dowiedziałem, opowiem i ja swoją historię. Mój ojciec jadąc pociągiem zapoznał się [ze] Steve Parker, [który] opowiedział mu, że szuka siostry w Polsce, został zaproszony do nas do domu, z żoną u nas mieszkał kilka dni, był z nim wywiad telewizyjny, którego szukam do dziś, a także ja go zawiozłem do siostry pierwszy raz, jak się zobaczyli, widziałem na własne oczy te emocje. Steve spoczywaj w spokoju”.

. O tym zdarzeniu opowiadał mi również sam Kostek. Z „odwiedzin” ekipy telewizyjnej nie był zadowolony.

[28] Kira Gałczyńska w książce *Nie wrócę tu nigdy, czyli pożegnanie z Mazurami* (Warszawa 1998) podaje mylnie na s. 171 nazwisko Porter.

[29] Dopiero po śmierci K.I. Gałczyńskiego (Stevena Parkera) na stronie fb – Leśniczówka Pranie – znalazła się wzmianka o piątce jego dzieci. Podała ją Gabrishia Galczynska (sic!). I tu czytam, że Steven Parker był synem K.I. Gałczyńskiego i Lucyny Wolanowskiej (sic!) więźniarki (…) Oświęcimia (sic!).

[30] Wywiad Wojciecha Kluska pt. *Nie wiedziałam, że pradziadek był tak znanym poetą* ukazał się w „Kurierze Lubelskim” (na wycinku prasowym brak danych bibliograficznych). Wnuczka

Konstantego Ildefonsa juniora błędnie podaje, że jej dziadek przyjął nazwisko Parker „zgodnie z miejscowymi wymogami”. Nie było takich wymogów.

[31] Arkusz Ewidencyjno-Kwalifikacyjny Alojzego Horaka z zasobów Centralnego Archiwum Wojskowego w Warszawie.

[32] Źródło: https://www.dws-xip.com/PW/bio/h1a.html

[33] S. Płoski, *Horak Alojzy*, „Polski Słownik Biograficzny”, t. IX, Wrocław-Warszawa- Kraków 1960–1961, s. 618.

[34] Miejsce pochówku: Alojzy Horak, ps. „Justyn Małecki”, „Witold Młot”, „Nestorowicz”, Neuman (1891–1943), dowódca Okręgu Warszawskiego AK; kwatera A6, rząd 8, grób 1. Konstanty Ildefons Gałczynski kwatera A2, rząd 10, grób 18.

[35] Spoczywa w Altona Melbourne Park; Cassuarina Lawn (AX), Row L, Grave 19.

Aleksander Sielicki. Słupy ognia.



Aleksander Sielicki, fot. arch. artysty

Aleksander Sielicki urodził się 1951 roku we Wrocławiu. Ukończył Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Pięknych na wydziale projektowania, ceramiki i szkła. Pracował jako grafik, malarz, ceramik i nauczyciel. W latach 1981 – 1984 mieszkał i tworzył w Munster (Niemcy Zachodnie). W 1984 roku zamieszkał w Toronto. Zajmuje się malarstwem

projektowaniem i realizacją wnętrz. Jego prace znajdują się w wielu kolekcjach świata, w takich krajach jak m.in. Polska, Niemcy, Szwajcaria, USA czy Japonia.

Równolegle do “Dancing Sun” pracuję od lat nad “Pillers of fire”. Jest to nasz dziennik z podróży przez życie, w drodze do Ziemi Obiecanej. Prowadzą nas znaki: nocą – słupy ognia, a za dnia obłok i błyski światła. Jedne miejsca odwiedzamy kierowani ciekawością, inne szczęśliwym lub złośliwym przypadkiem. Nasza droga to dni, miesiące, lata, miasta, kraje, ból, rany, blizny, nadzieja, rozmowy, marzenia i oczekiwania.

Aleksander Sielicki (Toronto)

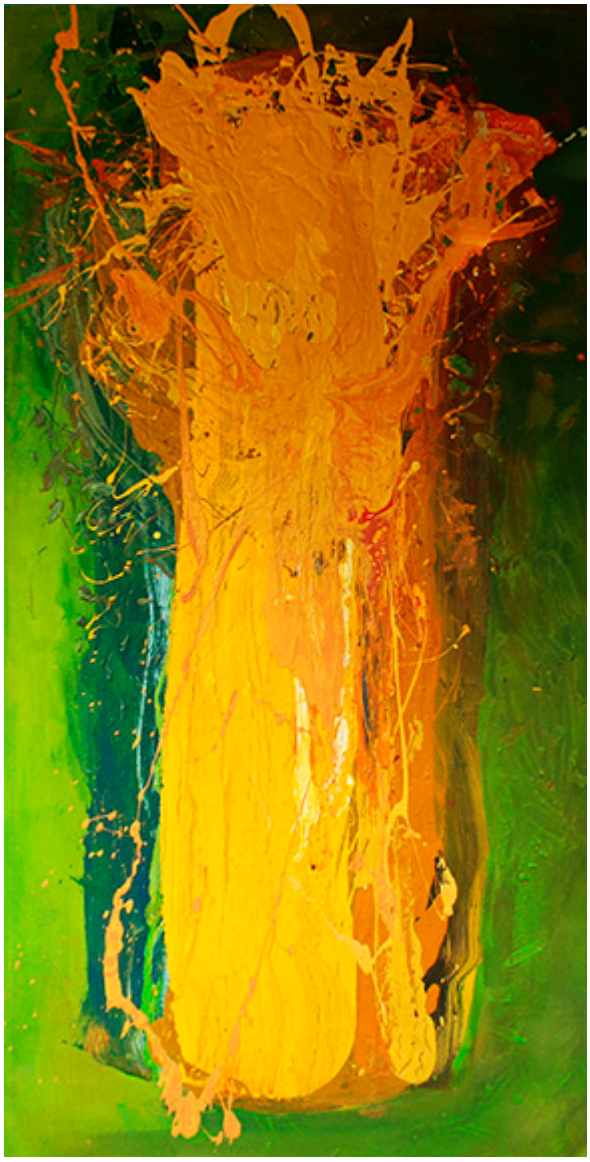
www.aleksandersielicki.com

*

G A L E R I A





















*

Zobacz też:

> Tańczące słońce

> Metafizyka obrazu

> Aleksander Sielicki. Kosmos wyobraźni.

Odeszła Danuta Błaszak – tłumaczka, pisarka, poetka



Danuta Błaszak

Wieczorem, 1 września 2022 r., nagle i niespodziewanie w swoim domu na Florydzie odeszła Danuta Błaszak. Miała 66 lat. Była pełna energii i pomysłów. Tłumaczka literatury pięknej, pisarka, poetka, laureatka wielu nagród. Z wykształecenia matematyk ze specjalnością – teoria przestrzeni wielowymiarowych i nieskończoności oraz dziennikarka (ukończyła studia podyplomowe w dziedzinie reportażu). Od lat pisała wiersze, wydawała tomiki poezji. Wydała też zbiory reportaży „Seks przez telefon", „Plotki z Florydy", „Notatnik z autyzmu" (o amerykańskim ośrodku pomagającym ludziom dorosłym z autyzmem). Opublikowała rozmowy z naukowcami na temat różnicach pomiędzy poezją a matematyką w postrzeganiu świata „Mathematics vs. Poetry" (Dreammee Little City 2005). Jednym z

ważnych tematów reportażowych, które podjęła, były publikacje na temat Pokolenia „Współczesności”.

Promowała polską literaturę za granicą. Założyła portal Miasto Literatów 2000++, który przyznawał nagrodę im. Josepha Conrada poetom spoza kraju, piszącym w języku polskim i angielskim ( ). Stworzyła serię wydawniczą „Contemporary Writers of Poland” w języku angielskim (współredaktor: Anna Maria Mickiewicz, grafik: Agnieszka Herman). Do udziału zapraszani byli pisarze polskiego pochodzenia oraz wybitni poeci z całego świata.

Opublikowała też powieści – „Oboje zbyt wrażliwi”, „Marzenia moje”, czy zbiór opowiadań „Assignments for Professor Orsini” (Valencia College, Dreammee Little City 2005). Najnowsza jej powieść to napisana z rozmachem i znajomością psychologii historia Jolki, która nie tylko pracowała w salonie fryzjerskim, ale przede wszystkim kochała wolność, którą dawało jej latanie. Ukazały się dwie części – „Fryzjerka. Na pokuszenie losu” (Lublin 2021) oraz „Fryzjerka 2. Miodem płyną rzeki” (Lublin 2022).



Danuta Błaszak, podobnie jak jej bohaterka, Jolka, całe życie uwielbiała szybować ponad ziemią. Nie obce jej były paralotnie, skoki ze spadochronem, sky diving, starała się też o licencję pilota.

W sierpniu Danuta Błaszak poprosiła mnie o zamieszczenie wszystkich pięciu recenzji drugiej części powieści – *bo u nikogo nie ma tak pięknie jak u Pani* – napisała z wdziękiem. Poza tym chciała wysłać książkę na konkurs i zależało jej, żeby wszystkie recenzje były w jednym miejscu. *Życzę zdrowia i wszystkiego co najlepsze* – zakończyła. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że to

będzie ostatnia wiadomość, jaką od niej dostanę. W takich okolicznościach przypomina się cytat z ks. Jana Twardowskiego – *Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodza*.

Do tej pory opublikowałam trzy recenzje „Fryzjerki 2”. Każda sprawiła autorce wielką radość, którą umiała okazać. Pozostałe dwie zamieszczam dziś, aby spełnić obietnicę.



Danuta Błaszak i Aleksander Nawrocki (zm. maj 2022), wieloletni redaktor naczelny „Poezji dzisiaj”, z którym współpracowała.

Fotografie pochodzą z archiwum rodziny Danuty Błaszak. Synowej – Agnieszce Błaszak, dziekuję za pomoc. Pozostałej w smutku Rodzinie, składam wyrazy współczucia.

Joanna Sokołowska-Gwizdka, redaktor

*

Krystyna Konecka

Opowieść Danuty Błaszak pt. „Fryzjerka 2. Miodem płyną rzeki” spadła na mnie poprzez kosmiczne łącza nad oceanem, wraz z mailem z Florydy. Nie ma tu się czemu dziwić: wszystko, co wiąże się z koncepcjami animatorskimi tej autorki lub wychodzi spod jej pióra, ma jakieś tajemnicze powiązania z siłami nadprzyrodzonymi, pozaziemskimi. Bo jakże inaczej wytłumaczyć to intelektualne „zaczepianie” czytelników, które po sięgnięciu po jakąkolwiek z pomyślanych przez Danutę Błaszak publikacji zatrzymuje uwagę, zmusza do rozmowy z bohaterami, utożsamiania się z nimi…

No, dobrze. Więc o czym jest „Fryzjerka 2”? O kim? O Jolce, tytułowej fryzjerce, tak? Tak. Banał tego skrótu myślowego obraziłby jednak cały zamysł książki (i tu należy dopowiedzieć, że jest to kontynuacja wydanej parę lat wcześniej opowieści pt.

„Fryzjerka. Na pokuszenie losu”). Za definicję całości wybrałam sytuację z „Fryzjerki 2”:

Kiedy Jolka dawno temu zaczęła studiować psychologię, zanim wyrzucili ją ze studiów, a może sama zrezygnowała, profesor narysował na wielkiej klasycznej tablicy mały krzyżyk.

– Rzucamy ścierką w tablicę. Jeśli powiem, że nie wolno rzucić, nie wolno wcelować w krzyżyk… Jeśli powiem, że obniżę ocenę za wcelowanie w krzyżyk – i tak to będzie wasz cel. Owoc zakazany przyciąga.

I Jolka wiedziała, że nie wolno zapytać: „Czy kochasz Ligię?” . Ale to pytanie było jak krzyżyk na tablicy, który krzyczał: zrób coś, czego masz nie robić!

Otóż motywem przewodnim działania bohaterki książki w obydwu częściach stał się ten imperatyw: zrób coś, czego masz nie robić! Co może być odebrane jako naganne w relacjach międzyludzkich, te wszystkie zwyczaje rodzinne, niemożność porozumiewania się, uwolnienia spod presji pokoleniowej, komunikowania, bo przemawiamy do siebie jak mieszkańcy odległych planet w domu, i w pracy. W niespodziewanej rewolcie codzienności, wywołanej pandemią. Więc trzeba zrobić to „coś”, przypomnieć sobie o własnych marzeniach i pragnieniach, wyzwolić się od zależności od matki, zerwać destrukcyjne relacje

„za pieniądze” z partnerem obciążonym rodziną, wreszcie – odnaleźć siebie. Miłość. I niech środkiem do wyzwolenia będzie coś najbardziej odległego od całodziennego stania z grzebieniem nad głową klientki w zakładzie fryzjerskim – niech to będzie paralotniarstwo. Przestrzeń, otwarcie, kosmos. I konsekwencje – odmiana losu, życia prywatnego, postrzegania rzeczywistości, doświadczanie nieznanych dotąd emocji i uczuć. I niechże ta baśń o spełnieniu niewyobrażalnego nie wydaje nam się nierealna…

Niechże też nie wydaje się nierealny dorobek twórczy autorki obydwu książek, o której miałam okazję pisać kilka lat temu, kiedy wydała oryginalną antologię pt. „Kosmos literatów”, do czego chcę powrócić stosownym cytatem.

Kiedy kilka lat temu po raz pierwszy zetknęłam się z nazwiskiem Danuty Błaszak, nie miałam wyobrażenia o dorobku literackim i animatorskim tej poetki i edytorki. Dzisiaj wiem, że od wielu lat współtworzy ona – absolwentka Wydziału Matematycznego Uniwersytetu Warszawskiego (sic!) historię literatury polskiej daleko od ojczyzny – polszczyzny, w Orlando na Florydzie. Jak się okazało – ocean nie stanowi żadnej bariery, jeżeli wyborem życiowym staje się pragnienie integrowania środowisk literackich oraz docierania do odbiorców poezji i prozy na różnych kontynentach poprzez pasję edytorską. Ostatnim przykładem (chociaż w przygotowaniu są już kolejne projekty)

stała się antologia (nazwijmy ją tradycyjnie, bo tego warta chociażby z przyczyn aksjologicznych, więc – florilegium) zatytułowana „Kosmos literatów", a przygotowana wspólnie z Anną Marią Mickiewicz z Londynu. Integralną i niezbywalną częścią polskojęzycznego, ponad 300-stronicowego tomu wydanego przez Dreammee Little City Publisher w Orlando w 2018 r. jest przedmowa Danuty Błaszak, objaśniająca czytelnikowi ponad dwudziestoletnią (!) historię różnorodnych koncepcji twórczych, łączących literacki świat wirtualny z tradycyjnym.

Książka „Kosmos literatów" jest nadbudową portalu literackiego „Miasto literatów 2000++", redagowanego przeze mnie i mojego męża Lecha – pisze współautorka antologii. – *„Miasto literatów" powstało kilka lat przed rokiem 2000 – stąd numer w nazwie, który oznaczać miał otwarcie na nowe tysiąclecie (…). Portal (…) miał zawierać podstawową informację o polskich środowiskach literackich (…).*

Wystarczy w internecie wrzucić hasło: Danuta Błaszak, żeby poznać jej twórczy i edytorski dorobek, na który składają się rzetelnie i profesjonalnie opracowane, często we współpracy ze sprawdzonymi przyjaciółmi, antologie poetyckie w języku polskim i angielskim oraz własne książki, świadczące o głębokiej wiedzy w różnych zakresach, nieskrępowanej wyobraźni i – co staje się zabytkiem – empatii wobec bohaterów oraz czytelników.

Mając możliwość nieograniczonego prezentowania się na ekranie, Danuta Błaszak dba o przekaz tradycyjny, publikując swoje opowieści w lubelskim wydawnictwie Norbertinum, należy więc do tych, którzy aprobują poglądy włoskiego pisarza i edytora Roberto Calasso, który twierdzi, że „papierowej książki nic nie zastąpi”.

…Z otrzymaną z wydawnictwa papierową książką w bagażu lecę w maju do Oslo, i czytam ją wysoko ponad osłoniętą chmurami ojczyzną, nad Bałtykiem, nad norweskimi fiordami. Wylądуję po dwóch godzinach z przekonaniem, że nie ma dla tej lektury bardziej optymalnych warunków niż samolot. Wprawdzie znacznie wyżej, i bardziej komfortowo unoszący się w powietrzu od książkowego samolotu Cesna czy paralotni, ale doświadczanie stanu wolności w przestrzeni, poczucie wyswobodzenia się ze wszystkich przyziemnych więzów było tożsame z psychicznymi doznaniami bohaterki „Fryzjerki 2”.

Daruję sobie streszczanie tej szczególnej, nasyconej delikatną erotyką i wiedzą z różnych dziedzin (dygresyjnej, przywołującej rzeczywiste postacie literatów) fabuły – skonstruowanej lekko, nieco żartobliwie, a mówiącej o sprawach uniwersalnych – odsyłając czytelników do internetowych recenzji Zdzisława Antolskiego i Zbigniewa Mirosławskiego. Akceptując w pełni analityczne i życzliwe oceny obydwu panów, dodam tylko, że „babski” punkt widzenia podczas lektury książki to „wartość

dodana”.



Medal przyznany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Zasłużony dla Kultury Polskiej”



Danuta Błaszak

*

Zdzisław Antolski

Najnowsza powieść Danuty Błaszak pt. „Fryzjerka 2. Miodem płyną rzeki”, wprawiła mnie w zdumienie i oszołomienie. To jest niezwykły utwór napisany z dystansem, ironią i humorem. Odbija się w tej książce charakter i osobowość Autorki.

Powieść jest trochę podobna do harlequina, ale jest jego pastiszem. Styl pisania jest podobny do reportażu, niemal telegraficzna narracja i brak nudnych opisów. Główną bohaterką jest Jolka, fryzjerka. Danuta Błaszak chyba w pisaniu tej powieści zastosowała się do recepty Hitchcocka, który swoje filmy zaczynał od trzęsienia ziemi, a potem emocje ciągle rosły.

Już w pierwszym rozdziale powieści dowiadujemy się o niesamowitej sprawie. Oto podczas nocy poślubnej pan młody wyszedł z domu i odleciał swoim helikopterem w nieznane (był bogatym człowiekiem…). Jolka, jego żona, poczuła się zagubiona, zwłaszcza, że mieszkali gdzieś w kieleckiem na wsi. Przeszukała mieszkanie i okazało się, że mąż nie wziął ze sobą swojego telefonu komórkowego, natomiast na półce znalazła kilka fotografii pięknej pani, w której, jak się okazało, Jakub (małżonek) kiedyś się kochał. Więcej nie będę zdradzał tej pasjonującej historii, natomiast zachęcam do sięgnięcia po książkę.

Dopiero na 56 stronie dowiadujemy się skąd wziął się podtytuł książki. Oto Jolce przypomniał się wiersz Ewy Szelburg Zarębiny:

> Zaprowadzę cię w taki kraj daleki, ·gdzie mlekiem i miodem płyną wszystkie rzeki

Muszę przyznać, że jako dziecko czytałem ten wiersz sławnej autorki i tym bardziej polubiłem powieść. Dla porządku jeszcze dodam, że główna bohaterka, Jolka, była trzydziestotrzyletnią kobietą o niebieskich oczach i długich blond włosach. Do tej pory spotykała się z niejakim Romualdem, dla pieniędzy, czyli była czymś w rodzaju utrzymanki. W dodatku była uzależniona od różowego wibratora, z którym się nie rozstawała ani na chwilę, co bardzo złościło jej obecnego męża, wdowca, Jakuba (36 lat), który był o wibrator zazdrosny. Jakub prowadził, jak się zorientowałem podczas lektury, różne biznesy i między innymi pracował dla wojska.

Akcja powieści toczy się błyskawicznie. Podczas lektury czujemy się, jak podczas szalonej jazdy na autostradzie, albo na zwariowanej karuzeli. Przy okazji dowiadujemy się wiele ważnych wiadomości z zakresu fryzjerstwa, komputerów, medycyny, wojskowości. Powieść toczy się w czasach wybuchu zarazy covidowej, więc bohaterowie sporo o tym rozmawiają, kupują maseczki i boją się ataków antymaseczkowców.

Przy okazji Jolka opowiada różne dygresje, dowiadujemy się np. że bardzo lubi poezje Grażyny Tatarskiej, która pisze o kieleckiem. Szkoda, że Jolka nie natknęło się na twórczość poety i prozaika Zdzisława Antolskiego, który większość swoich utworów poświęcił kielecczyźnie i Ponidziu. Podobno przełom nastąpi w trzecim tomie „Fryzjerki” i Antolski pojawi się na

kartach powieści. Mam nadzieję, że ta obietnica Autorki się spełni.

Z powieści można się też dowiedzieć, że Jolka jest przyjaciółką Agnieszki Herman, znanej poetki, autorki kilku ważnych książek. Jolka kibicuje Agnieszce w turnieju literackim o Nagrodę Orfeusza.

Książka, mimo pewnej ironii, zawiera kluczowe pytania: czym jest życie człowieka, czy rządzi nim przypadek czy przeznaczenie? Jak nasze postępowanie wpływa na innych ludzi itp. Choć akcja warto płynie i dowiadujemy się ciągle o nowych, dramatycznych sytuacjach, to znajdą się chwile również na takie przemyślenia.

Dla mnie książka jest świetna, pobudzająca wyobraźnię. Zarówno poważna, jak i pod koniec dramatyczna, ale doprawiona sporą dawką humoru. Muszę powiedzieć jeszcze jedno, że pan Jakub nie wytrzymał konkurencji z wibratorem i utopił go w kanalizacji.

Z niecierpliwością czekam na ciąg dalszy.

Fryzjerka 2. Miodem płyną rzeki.

- Wydanie: pierwsze
- Miejsce i rok: Lublin, Norbertinum, 2022
- Objętość: 199, [1] s.
- Format: 145 x 205 mm
- Oprawa: miękka klejona
- ISBN: 978-83-7222-754-6
- Cena zbytu: 29,00 PLN

*

Zobacz też:

> Fryzjerka 2 – druga część powieści Danuty Błaszak

> Od marzeń do spełnienia

> Na łodzi